Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 48 (1732) 1–7 grudnia 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

MATI SHOW

NIE

RZĄD EKSPERTÓW

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 636a773d5d

RĄBANKA POWYBORCZA

Sondaż partyjny – tylko jeden w tym tygodniu, z CBOS. PiS – 29 proc., PO – 24 proc., Trzecia Droga – 13 proc., Lewica i Konfederacja po 8 proc. Za to 87 proc. Polaków deklaruje, że poszłoby na wybory. Polityka zrobiła się sexy. Z badania United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej" dowiadujemy się jak bardzo: 58,4 proc. Polaków pragnie komisji śledczych ds. wyborów kopertowych, afery wizowej i Pegasusa, choć tylko 47 proc. sądzi, że będą one służyły wyjaśnieniu tych kwestii. 30 proc. uważa, że posłużą odwetowi na PiS, a 14,6 proc. racjonalnie zakłada, że będzie to głównie narzędzie do lansowania się zasiadających w nich posłów.

Z kolei IBRiS dla Onetu zbadał potencjał prezydencki. Rafał Trzaskowski – 34,6 proc., Mateusz Morawiecki – 29,9 proc., Szymon Hołownia – 11,6 proc., Sławomir Mentzen – 7,2 proc., Władysław Kosiniak-Kamysz – 6,3 proc., Joanna Scheuring-Wielgus – 1,5 proc. Żeby było ciekawiej, IBRiS zaoferował wariant B: z Tuskiem i Witek zamiast Trzaskowskiego i Morawieckiego oraz Dziemianowicz-Bąk w miejsce Scheuring-Wielgus. Wyniki: Tusk – 25,6 proc., Witek – 21,4 proc., Hołownia – 16,7 proc., Kosiniak-Kamysz – 8,6 proc., Dziemianowicz-Bąk i Mentzen po 8 proc. Wynika z tego, że szansa Szymona Hołowni na duży pałac wydaje się nieszczególna. Choć nie wiadomo, bo przed nami jeszcze dwa lata przedstawienia.

Sejm pod wodzą wodzireja stał się bowiem przebojem telewizji i sieci. Sejmowy kanał na YouTubie ma już 200 tys. subskrybentów, a wtorkowe posiedzenie obejrzało tam 1,4 mln ludzi. W telewizjach do kupy pierwsze posiedzenia obu izb miały 2,74 mln widzów, choć nie wiadomo, czy zgodnie z radą marszałka Hołowni „zaopatrzyli się w popcorn solidnie". Wiadomo za to, że to musi być złoty interes dla telewizji komercyjnych, które pokazują sejm w kółko na żywo, co oznacza, że nie trzeba robić programów i płacić dziennikarzom oraz realizatorom. Choć z drugiej strony oszczędność jest nieprzesadna, bo goście i tak przychodzą za darmo.

Mateusz Morawiecki pokazał swój trzeci gabinet. I teraz już wiemy, po co to wszystko. To recepta zaczerpnięta z żydowskiego dowcipu o kozie, którą rabin kazał wprowadzić – a potem wyprowadzić – żeby uświadomić rodzinie narzekającej na ciasnotę, że w sumie ma kupę miejsca. Sądziliście, że Sasin nie nadaje się na ministra aktywów państwowych? To teraz macie jego podopieczną Marzenę Małek, która przed rządami PiS pracowała w bibliotece w Radzyminie. Nie podobał się wam profesor socjologii jako minister kultury? To zastąpiła go aktorka epizodyczna z serialu „M jak miłość". Lekarka wam nie odpowiadała w Ministerstwie Zdrowia? To macie farmaceutkę. Tylko Mariusz Błaszczak pozostał na stanowisku szefa MON, co może wskazywać na to, że nikogo mniej kompetentnego nie udało się znaleźć.

Święcący triumfy oglądalności sejm daje ludziom to, czego pragną. Nowa większość nie jest wprawdzie na razie w stanie przejąć władzy w Polsce, ale za to wynagradza rozczarowanym tempem zmian wyborcom obfitością komisji śledczych. Na warsztacie są już trzy – od afery wizowej, Pegasusa i wyborów kopertowych – a Konfederacja chce dorzucić następne: od polityki energetycznej, importu żywności z Ukrainy oraz zbadania spisku covidowego. Posłowie PO są nie od tego – Joński ogłosił na przykład, że na własne oraz Szczerby oczy widział, jak Ministerstwo Zdrowia wyrzucało pieniądze w pandemii. Teoretycznie można się zastanawiać, czy pół tuzina komisji śledczych to naprawdę najpilniejsze zadanie dla sejmu, ale z drugiej strony odchodząca władza jest sama sobie winna. Jak nie daje nowym rządzić, to czymś się muszą zająć.

Słyszymy jednak, że nowy rząd jest w blokach startowych. Ponoć wszystkie resorty zostały już rozdzielone, głównie między facetów z Platformy Obywatelskiej. Jeśli chodzi o parytet w KO, to Tusk wytypował dwie niewiasty: Barbarę Nowacką, która zostanie ministrem (tfu, przepraszamy, ministrą) edukacji – głównie po to, żeby nie oddać jej Agnieszce Dziemianowicz-Bąk z Lewicy – oraz Izabelę Leszczynę, która zna się na wszystkim, więc weźmie zdrowie. Ponoć bardzo nie chciała, ale kierownik jej wytłumaczył, że nie musi się zajmować zdrowiem, bo jej zadaniem będzie kłócenie się z Domańskim o pieniądze. To ją przekonało, bo Domański, ulubiony makler Tuska, zajął obiecywane Leszczynie stanowisko ministra finansów, co sprawia, że ma z nim kosę, a kłócić się lubi.

Na koniec kilka wzruszeń, których dostarczyli nam politycy w tym tygodniu. Po pierwsze, rozczulił nas prezydent Duda, który z radością przywitał dwutygodniowy rząd Morawieckiego, odnotowując, że jego średnia wieku „jest zdecydowanie poniżej mojego". Zgodnie z teorią dziecięcego egocentryzmu Piageta myślenie dzieci w stadium przedoperacyjnym jest zdominowane przez egocentryzm, ale nie oznacza to egoizmu, a jedynie rozwojową nieumiejętność przyjęcia perspektywy innej niż własna. Przeważnie wyrasta się z tego koło siódmego roku życia, ale niektórzy uczą się przez cały czas.

Drugie wzruszenie zawdzięczamy Tomaszowi Siemoniakowi rzuconemu na odcinek koordynatora ds. służb specjalnych, który zapytany, czy nie jest mu trochę żal, że „do jego ukochanego MON wprowadzi się Kosiniak-Kamysz", odparł wzniośle: „Ja nie mam ukochanych resortów, kocham Rzeczpospolitą". W kontrze do tego patriotycznego – czyli ze swej natury immanentnie prawicowego uniesienia – oczarował nas Grzegorz Braun z ultraprawicowej Konfederacji. W debacie o pensjach pielęgniarek dał on bowiem wyraz głęboko ukrytemu lewactwu. Nie dość, że powiedział, że rząd Morawieckiego ma na sumieniu więcej Polaków niż Kiszczak z Jaruzelskim razem wzięci, to jeszcze, apelując o demonopolizację opieki zdrowotnej, zacytował Mao Tse-tunga: „Niech rozkwita sto kwiatów!". Widzicie: nawet prawacka ekstrema nie radzi sobie bez lewicowej myśli politycznej.

Z URNY URBANA

W chwili, kiedy PiS za pomocą prezydenta i rządu dwutygodniowego usiłuje udawać, że panuje nad sytuacją i wciąż rządzi, przypominamy felieton Urbana ze stycznia 2016 r., kiedy to kaczyści dopiero mościli się na wygodnych pozycjach rządzących.

20 lat smuty

Jak chłopu jego krowa, jak orłu korona, jak archiwalnej Kulczykowej Stary Browar w Poznaniu czy jak mnie Azor i sraczka, tak Jarosławowi Kaczyńskiemu należy się Polska. Proszę o zrozumienie dla tego człowieka, gdyż wiele wycierpiał, żeby dojść do swego. Osiem razy przegrywał wybory, a tu jeszcze komuniści i złodzieje wymagają od nieszczęśnika respektu dla demokracji. Pokażcie mi rakowca, który kocha swój nowotwór. Gdy w 2005 r. zdobył władzę i zapragnął jej całej, bo to jak gdyby żonę dzielić z Lepperem i Giertychem, stracił ją w ogóle po dwóch latach. Chciał Polakom zrobić dobrze, a szuje ukradły mu pół kadencji. Jak ma się Kaczyński nie odwdzięczać tak niewdzięcznemu narodowi. Półnarodek dał mu co prawda prezydenta i większość w parlamencie, ale dzięki temu, że sam prezes musiał przed wyborami głęboko schować siebie i ukryć swoje zamiary. Polskę brał jak złodziej ukryty na melinie. Przyszło mu dać się wybierać w ciemno. To było upokorzenie numer dziewięć.

Pięć lat temu jako resztówkę miał głowę państwa. Rozwalili w Smoleńsku bliźniaka jednojajowego Lecha. To jak gdyby jego samego przecięli na pół i powiedzieli: żyj. Był wybuch Macierewicza czy go nie było, wojsko Tuska oddało brata w ręce debeściaków, którzy latawców nie umieliby pilotować, a co dopiero lądować we mgle. Bardzo to mglista tragedia.

Nic dziwnego, że po tych przejściach Jarosław jest na głodzie. To głód władzy. Ilekolwiek by jej zeżarł, głód ten mu nie przejdzie, to władca nie do nasycenia.

Kołatanie w głowie Jarosława Kaczyńskiego wprowadza nas w rok 2016, pierwszy rok wygaszania zła w Polsce i trąbienia dobrej zmiany. Naiwni sądzą, że PiS straci władzę za cztery lata. Przewiduję, że w roku 2019 partia ta albo będzie miała moc potrzebną do sfałszowania wyborów, albo powie, że konkurencja je sfałszowała, i nie odda władzy. Ten kraj czeka 20-letnia Rzesza Biało-Czerwona. Kaczyński zabetonuje rządy PiS. To narkoman władzy. Obym się mylił, co robiłem wielokrotnie.

Jako starego kibola polityki całe otoczenie pyta mnie o prognozę: na jak długo kraj utkwił w zębach Kaczyńskiego. Odpowiadam: na 20 lat, bo lepiej mieć miłą niespodziankę niż wyczekiwać z miesiąca na miesiąc.

Miliony ludzi opłacanych z budżetu państwa i samorządów, członkowie ich rodzin oraz biznesmeni uzależnieni od urzędników nie zaryzykują swojej egzystencji dla zmiany politycznej. Trudno przewidzieć, jak kaczyści zorganizują presję na pojedynczych wyborców. Zniosą tajność?

Wyobraźmy sobie jednak, że za cztery lata PiS przegrywa wybory i Kaczyński grzecznie oddaje rządy np. premierowi Petru. Odbijanie państwa kaczystom wymagałoby bolszewickiej rewolucji i właściwych im metod. Demokratyczne rządy nie są w stanie odwrócić faktów dokonanych przez PiS. I nie myślę tu o 500 zł usuwających młode kobiety z rynku pracy itp. Tego nikt nie tknie. Ani o wieku emerytalnym, długich urlopach macierzyńskich.

Czyż Petru wyrzuci 100 tysięcy katonarodowych janczarów PiS, którymi ta partia obsadziła ministerstwa, urzędy centralne i wojewódzkie, spółki skarbu państwa, odbite koalicji PO–PSL samorządy, sądy, prokuratury, wojsko, telewizję, teatry, szkoły, tajne służby i wszystko aż po publiczne wychodki? Ilu trzeba będzie ustaw, aby zmienić narodową demokraturę na powrót w europejską demokrację? Ilu lat, żeby zmienić program szkolny? Dla mojego wnuka, miłośnika „Gwiezdnych wojen", Sienkiewicz pisał po chińsku, a już za rządów PO kazano mu go czytać.

Żeby mieć tłuste państwo, Kaczyński dużo upaństwowił i urządowił. Na pewno scentralizuje finanse, żeby uzależnić od siebie samorządy i znaczącą część gospodarki. Jak Petru państwo ma odchudzić?

Gdy się chwieje prawem od góry, bezprawie zżera cały organizm państwa. Jak Petru ma to leczyć? Ile lat potrwa odbudowa niezależnych prokuratury i sądów?

Z początkiem 2016 r. Kaczyński przejmie media publiczne. Prywatne telewizje wyrażą oburzenie, ale po cichu w TVN i Polsacie otworzą szampana, radując się, że TVP szybko straci widzów. Czyż warto będzie po rządach PiS odzyskiwać TVP i państwowe radio? Ożywiać trupa? I czy Polska, formalnie znowu demokratyczna, odbuduje Unię porozwalaną przez niespodziewany rozkwit nacjonalizmów? Polska – państwo powiatowego już formatu?

Tak więc jeśli nawet po czterech latach Kaczyński, mając w rękach wszystkie instrumenty władzy, odda ją z błahego powodu przegranych wyborów, to skutki jego rządów rozciągną się na 20-lecie. O radości, iskro bogów, kwiecie Elizejskich Pól!

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Marek Suski został szefem komisji do spraw klimatu. Globalne ocieplenie nie odbędzie się.

Przed **restauracją Madonna** w Warszawie odbył się modlitewny protest. Protestującym na rozgrzewkę warto zaserwować Krwawą Mary.

W Toruniu odbył się **XVI Międzynarodowy Kongres „Katolicy a cielesność"**. Katolicy o cielesności wiedzą tylko tyle, żeby nie trzepać kapucyna.

Portal Republika TV przekonuje, że polskie złoto trafi do Niemiec. Na szczęście kanałem przez Mierzeję Wiślaną się nie przeciśnie.

Prof. Bohdan Chazan przypomniał, że in vitro nie jest leczeniem bezpłodności. Anestezjologia też niczego nie leczy, dawać Chazana na stół.

Mateusz Morawiecki zapowiedział, że pracowników TVP będzie bronić do końca. Jak jest pytanie o Telewizję Publiczną, to Morawiecki zawsze krzyczy: „Na siebie!".

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 636a773d5d

Nastoletnia pochwa tatusia

Rys. JANUARY

Siedemnastoletnia panna u lekarza nie jest pacjentem, tylko kimś zbliżonym do chomika zaniesionego do weterynarza.

Mniej więcej jedna piąta piętnastoletnich dziewczyn ma za sobą pierwszy raz. I to w zgodzie z prawem, które pozwala im uprawiać seks dzień po 15. urodzinach. Od tego momentu panny mogą – oczywiście bez pytania rodziców o zgodę – rozkładać nogi, przed kim im się podoba. Z jednym małym wyjątkiem. Tym kimś nie może być ginekolog.

Żeby bez mamusi czy tatusia pójść do lekarza na kontrolę, po wiedzę, poradę i dobranie antykoncepcji, w naszym kraju trzeba skończyć 18 lat.

Wonny kolorowy wyciek

Media łkają nad kobietami wykluczonymi ginekologicznie. A to dlatego, że NIK w jednym ze swoich raportów napisała, że w ponad połowie gmin nie ma dostępu do poradni ginekologicznej. Szczytem tego mogło się pochwalić województwo podlaskie, gdzie w ponad 78 proc. gmin brakuje ginekologów. W nader bliskim Warszawie województwie mazowieckim poradni z fotelem do rozkładania nóg nie miało blisko 62 proc. gmin. Szermowano też danymi mówiącymi, że średnia liczba kobiet na jedną poradnię w obszarach wiejskich wynosi nawet ponad 27 tys., jak w województwie lubelskim. W miastach było trochę lepiej: na jedną poradnię ginekologiczną przypadało 4–5 tys. kobiet.

Czy w związku z tym kogoś dziwi, że do ginekologa regularnie raz na rok chodzi tylko 21 proc. kobiet, a aż 13 proc. w ogóle tego nie robi? Jeśli jednak już idą, to dlatego, że coś im cieknie, i nie jest to miesiączka. Dla 70 proc. Polek powodem wizyty u ginekologa są ból, pieczenie oraz zmiana koloru i zapachu wydzieliny z pochwy!

Jak nic nie cieknie i kobieta nie jest w ciąży, to do ginekologa nie pójdzie. U dentysty statystyczna Polka jest dwa razy częściej niż w poradni ginekologicznej. Efektem tego jest hodowanie przez kobiety nowotworów szyjki macicy, jajnika i piersi oraz kilkanaście tysięcy zgonów rocznie.

Statystyka ta mogłaby być dziesięć razy niższa, gdyby kobiety od maleńkości miały wdrukowane coroczne ginekologiczne „przeglądy techniczne". Według rekomendacji Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników dziewczyna pierwszy raz u ginekologa powinna pojawić się między 12. a 15. rokiem życia, czyli rok po pierwszej miesiączce.

Ale przecież do ginekologa nie zaprowadzi jej niechodząca na przeglądy mamusia. O tatusiu nie wspominając. A samej jej nie wolno.

Jak pedofil z pedofilką

O dorosłości seksualnej stanowi w Polsce art. 200 § 1 Kodeksu karnego. Mówi on: „Kto obcuje płciowo z małoletnim poniżej lat 15 lub dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej lub doprowadza ją do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania, podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 15".

Tzw. wiek przyzwolenia jest u nas i tak dość przyzwoicie wymyślony. Są bowiem kraje, gdzie hipokryzja spowodowała, że seks jest dozwolony dopiero od osiemnastki. Tyle że w tych krajach stosuje się dwie granice wiekowe. Po 18. roku życia młodzież może współżyć, z kim chce. Natomiast gdy robi to wcześniej, to wolno jej z mniej więcej równolatkami. W Kanadzie wiek przyzwolenia wynosi 16 lat, ale dla osób mających 14–15 lat jest dozwolony, jeśli partner jest mniej niż pięć lat starszy. Ba, kanadyjskim nieletnim w wieku 12–13 lat też wolno pod warunkiem, że partner jest starszy o mniej niż dwa lata. W Finlandii wiek przyzwolenia to 16 lat, ale tamtejsze prawo stanowi, że czyn nie będzie karany, jeżeli „nie ma dużej różnicy w wieku lub dojrzałości psychicznej i fizycznej osób zaangażowanych". U nas zaś, jeśli na erotyczną gimnastykę weźmie dorodną 13-latkę i wyrośniętego 14-latka, to gdy sprawa trafi do prokuratury i sądu, oboje do końca życia będą mieli w papierach, że są pedofilami.

W badaniu 500 młodych Europejczyków i 500 młodych Amerykanów pytano o ich doświadczenia seksualne. Średnia pierwszego razu wyniosła 17,4 roku. Wiek inicjacji seksualnej w Polsce waha się od 16,9 do 17,4 lat. Z raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że w Polsce inicjacja ma miejsce między 15. a 18. rokiem życia, a aktywność seksualna przed ukończeniem 18. roku życia dotyczy około 80 proc. nastolatków. Z kolei z badań prof. Zbigniewa Izdebskiego wychodzi, że ponad 20 proc. młodych ludzi podejmuje współżycie przed ukończeniem 15. roku życia, 31 proc. – w wieku lat 16, a 38 proc. – w wieku lat 17. Młodzież uznaje, że to normalne. Dorośli hipokryci – wręcz przeciwnie.

Całkiem inne badania pokazują, że w Polsce tylko 5 proc. kobiet w wieku reprodukcyjnym nie stosuje żadnej antykoncepcji. Te dziewczyny, które z niej korzystają, najczęściej wybierają tabletki antykoncepcyjne. One zaś są tylko na receptę. Receptę musi wypisać ginekolog. Co wyklucza panny przed osiemnastką z grona zabezpieczających się niewiast.

Nie powinny zatem dziwić dane GUS mówiące, że w Polsce co roku w ciążę zachodzi ok. 20 tys. nastolatek. Najwięcej takich ciąż jest wśród dziewczyn w wieku pomiędzy 15. a 19. rokiem życia, ale zdarzają się także przypadki, gdy dziecko rodzi 13-latka.

Przy tatusiu to żaden wstyd

Prawo zabrania lekarzom przyjmowania osób niepełnoletnich bez rodzica czy prawnego opiekuna. Dlatego procedura wizyty u ginekologa wygląda tak, że jeśli dziewczę ma 15 lat, musi iść z rodzicem, a lekarz, nawet jeżeli młoda osoba nie chce, musi przeprowadzić badania, których żąda opiekun.

Trochę zmienia się to, gdy panna skończy 16 lat. Musi co prawda przyjść do lekarza z opiekunem prawnym, ale ma prawo nie poddać się badaniu. I jeśli odmówi, to lekarz musi jej posłuchać.

Niestety, ginekolog nie ma prawa odmówić rodzicowi odpowiedzi na to, co wypatrzył w czeluściach nastolatki. A jak twierdzą lekarze, co czwartego rodzica najbardziej interesuje stan błony dziewiczej córki. Ba, co piątego rodzica nie udaje się grzecznie wyprosić z gabinetu na czas badania. Tatuś powie, że nie, i lekarz musi badać dziewczynę w jego obecności.

W sytuacjach, gdy jednak matka czy ojciec wyjdą, nieletnia rozmawia z lekarzem jak dorosła. Dopytuje o szczegóły i o antykoncepcję. Najczęściej też prosi o dyskrecję. Tej zaś, w świetle obowiązujących przepisów, lekarz nie może jej obiecać. Dla prawa nieletnie dziecko u lekarza nie jest pacjentem, tylko kimś zbliżonym do chomika u weterynarza.

Dziewczyny doskonale zdają sobie sprawę z tych przepisów. Dlatego **do ginekologów starają się nie chodzić, nawet jeżeli powinny. Wskutek tego większość z nich oprócz stosunku przerywanego i prezerwatywy nie ma szans na inne formy antykoncepcji. Z powodu głupich przepisów mogą zostać bezpłodne, bo nawet jeśli złapią prostą do wyleczenia chorobę, to nie pójdą z nią do lekarza.**

W Wielkiej Brytanii też tak było. Jednak 40 lat temu pewna 16-latka bez wiedzy rodziców zwróciła się do lekarza o poradę antykoncepcyjną. Jej matka, wielodzietna katoliczka, poszła do sądu ze skargą, że takie postępowanie lekarza prowadzi młodych ludzi do rozwiązłości. Sprawa trafiła do Izby Lordów, która orzekła, że od władzy rodzicielskiej ważniejsze jest dobro małoletniego. Od tej pory brytyjscy lekarze mają prawo samodzielnie ocenić, czy nieletni pacjent jest gotowy do rozpoczęcia współżycia. Cztery dekady temu ruszyły więc w Zjednoczonym Królestwie dostępne dla nastolatków centra planowania rodziny, w których młodzi ludzie mają dostęp do lekarza i bezpłatnej antykoncepcji. W innych krajach Europy Zachodniej władze też wyszły z założenia, że skoro prawo dopuszcza nastoletni seks, to musi także dopuszczać antykoncepcję oraz samodzielne wizyty nieletnich w gabinetach.

U nas zaś od czasu do czasu każdy ginekolog ma przyjemność oglądać nastoletnią ciężarną, która na wizytę kontrolną zawartości swojej macicy przychodzi do gabinetu nie z ojcem dziecka, ale ze swoją mamusią lub tatusiem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Nieletni nikt

Mój syn, gdy ukończył 18 lat, ucieszył się nie z tego, że może kupić flaszkę czy zrobić prawo jazdy. Od tej chwili mógł samodzielnie, bez konieczności ciągnięcia starych, iść do lekarza.

Debilne przepisy uznające starszych nastolatków za istoty o intelekcie oseska powodują co roku straty gospodarcze idące w miliardy złotych. Rodzice 14–17-latków muszą brać wolne lub zwalniać się tylko po to, żeby dzieciak mógł zrobić jakieś badania czy pójść do lekarza z grypą, przeziębieniem lub zapaleniem oskrzeli. Tak jakby młody człowiek nie mógł zrobić tego samodzielnie, dzieląc się z lekarzem objawami i dostając od niego receptę z rozpiską, jak stosować leki. Idiotyzm dzisiejszej sytuacji potęgują sami lekarze, którzy rodzica większego od niego potomstwa dopytują, gdzie go boli i jak się czuje.

Ubezwłasnowolnienie medyczne nastolatków jest więc większe niż administracyjne, bo wraz z ukończeniem 13. roku życia młody człowiek może mieć konto w banku i podpisywać niektóre umowy. Ale z lekarzem rozmawiać mu nie wolno.

T.J.

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Świat, światek i półświatek już się przekonały, że szef Gabinetu Prezydenta Rzeczpospolitej Marcin Mastalerek nie jest cudowną bronią Andrzeja Dudy. Robi za to podobne miny do min pryncypała, używa jego estetyki, erystyki i dialektyki. Powszechnie wzbudza wybuchy śmiechu, najczęściej pustego.

Ostatni przykład. Mastalerek u Antoniego Dudka w audycji internetowej „Super Expressu" „Dudek o polityce". Plecie prezydenckie androny o powoływaniu niepopieralnego rządu Morawieckiego. Oraz o emeryturze Kaczyńskiego. A także o osiągnięciach Dudy. I nagle! „Prezydent nigdy nie był i nie będzie politykiem partyjnym.

Mogą odetchnąć z ulgą niektórzy koledzy z PiS-u i z opozycji. Prezydent nie był działaczem partyjnym, skupiał się na pracy państwowej i już nigdy do tego nie wróci. To tak jak ktoś przejdzie grę komputerową. Najczęściej nie wraca do początku, tylko kupuje inną i gra w inną. Prezydent, odnosząc się do gier komputerowych, przeszedł grę: dwa razy wygrał wybory prezydenckie. Nie stanie na czele jakiejś partii, to jest niemożliwe" – mówi Mastalerek.

Nie chodzi nawet o tę grę komputerową… Chodzi o kłamstwo: „Prezydent nigdy nie był i nie będzie politykiem partyjnym". I chodzi o bezczelność.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 636a773d5d

Babole Glińskiego

Pierwszemu dał złotóweczkę, drugiemu złotóweczkę, a trzeciemu nic nie dał i sobie poleciał.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wpadła mi w oko zapowiedź organizowanego przez Instytut Copernicanum spotkania z dziennikarzem i felietonistą Robertem Tekielim poświęconego zagrożeniom duchowym na TitToku i YouTubie. Zanim skończyłam się śmiać, na plakacie promującym wydarzenie dostrzegłam coś jeszcze: logotyp Komitetu ds. Pożytku Publicznego i adnotację o sfinansowaniu wydarzenia z budżetu Narodowego Instytutu Wolności (NIW) na lata 2018–2030. NIW to dobrze znane już dziecko wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego, pieszczotliwie zwane przez media bankomatem dla związanych z PiS-em.

Postanowiłam wyłuskać najciekawsze babole z zestawienia beneficjentów tegorocznych grantów i sprawdzić ich dokonania pół roku po przyznaniu dofinansowania.

Pańskie oko think tank tuczy

Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego rozpoczął działalność w lutym 2018 r. „To jest projekt, który wychodzi naprzeciw potrzebom organizacji pozarządowych, na ogół tych słabszych, lokalnych, tych, które dotychczas nie miały odpowiedniego wsparcia także ze strony polskiego państwa” – lansował inicjatywę wicepremier Piotr Gliński, przewodniczący Komitetu do spraw Pożytku Publicznego i inicjator powstania NIW–CRSO.

Mawiają, że Bóg stworzył grzech, abyśmy mogli zaznać łaski Jego miłosierdzia. Zapewne dlatego NIW tak chętnie przyznaje dotacje organizacjom o profilu prawicowym, związanym z politykami Prawa i Sprawiedliwości, oraz wszelkiej maści katolickim tworom.

Nie inaczej było w tegorocznej edycji. Jako że przeszło sześć miesięcy to dobra cezura czasowa na podjęcie aktywności za gruby szmal, przeczesałam listę wniosków i przeanalizowałam dokonania tych szczególnie niemrawych profitentów. Okazuje się, że taki z nich pożytek publiczny jak z Pazimiechów Dupnych Bombaj.

Konstytucja na hejnał

„Naszą ideą jest stworzenie wielofunkcyjnego ośrodka naukowo-analitycznego, który wykorzystałby doświadczenie członków Rady Naukowej oraz zespołu eksperckiego, cechującego się dużym doświadczeniem w działalności publicznej, legitymującego się dorobkiem naukowym potwierdzonym stopniami oraz tytułami naukowymi i odnajdującego źródła aksjologii Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej w chrześcijaństwie i republikanizmie” – zachwalają swój projekt ojcowie założyciele fundacji Instytutu Spraw Konstytucyjnych (ISK). W 2021 r. instytucji prezesował Patryk Palczewski, radny PiS w warszawskim Śródmieściu. Obecnie funkcję sprawuje Mateusz Rojewski, warszawski radny (cóż za przypadek) PiS z Ursynowa.

„Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje” – mówi stare porzekadło. Tej natomiast – konstytucyjnej – najwyraźniej całkiem wyschły wymiona.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Jeśli zajrzeć na stronę internetową ISK, w oczy rzuca się niewielka aktywność członków, żeby nie powiedzieć: miękkim chujem malowana fasadowość działań. W zakładce „Działalność” widnieje smętny opis konferencji z grudnia 2021 r. zatytułowanej: „Nowoczesna Konstytucja dla Polski”, która to pod honorowym patronatem prezydenta RP zgromadziła około stu osób, w tym „uczonych z całego kraju, doktorantów, studentów, a także przedstawicieli klasy politycznej i mediów”. Niestety, jestem zmuszona uwierzyć na słowo, bo zarówno na stronie ISK, jak i w całym internecie brak jakiejkolwiek innej wzmianki o wydarzeniu, nie wspominając o zdjęciach. Zajrzałam na stronę prezydenta RP, ale tam również nie znalazłam interesujących mnie treści. Może akurat zapomnieli wrzucić, szkoda. Niemniej w natłoku obowiązków zdarzają się i takie historie. Choć rodzi się pytanie, czy ta konferencja w ogóle się odbyła.

Ze smutkiem odkryłam, że na portalu ISK nie tylko nie ma na co popatrzeć, ale niewiele jest do poczytania. W zakładce „Publikacje” ostatnie wpisy pochodzą z grudnia 2022 r. Są to m.in. tekst dr hab. Jadwigi Potrzeszcz „Konstytucyjne zasady sprawiedliwości społecznej z perspektywy wartości chrześcijańskich” oraz tekst dr. hab. Mariusza Muszyńskiego „Prawnomiędzynarodowe podstawy niemieckich zobowiązań reparacyjnych na rzecz Polski”. Publikacji jest łącznie 26. Zarówno te z 2022 r., jak i z 2021 r. zostały umieszczone na stronie w okresie listopada/grudnia, możliwe zatem, że i w tym roku wpadną jeszcze jakieś treści.

Facebookowy profil fundacji ISK prezentuje się jeszcze mizerniej: są to głównie grafiki z wycinkami z orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego. Mimo to w okresie od grudnia do września 2022 r. liczba polubień strony skoczyła ze 170 lajków na 1700. Tożsamość entuzjastów jest niejawna, więc w pierwszej chwili można by założyć, że polubień natłukły farmy trolli, a nie obywatele z krwi i kości.

W lutym bieżącego roku Instytut Spraw Konstytucyjnych zorganizował wydarzenie online „Rodzina w polskim konstytucjonalizmie”. W lipcu fundacja pochwaliła się pozyskaniem mamony z budżetu państwa w ramach konkursu ministra spraw zagranicznych „Dyplomacja Publiczna 2023” (Fundusz Patriotyczny ministra Glińskiego) na publikację naukową poświęconą 30-leciu zawarcia konkordatu pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską. Z opracowaniem – według zapowiedzi – będzie się można zapoznać jeszcze w tym roku. Zapewne w grudniu, aby tradycji stało się zadość. Więcej aktywności na stronie nie ma. Szkoda, 1700 osób to spora gromadka fanów, muszą się czuć zawiedzeni… Skoro jednak fundacja otrzymała dofinansowanie w kwocie 353 tys. zł na „rozwój potencjału Instytutu Spraw Konstytucyjnych”, na pewno jeszcze niejednym nas zaskoczy. Grudzień już blisko.

Lipa z Kujaw

Zgoła odmienną aktywnością od Fundacji ISK może się poszczycić kolejny beneficjent Narodowego Instytutu Wolności: Kujawski Instytut Myśli Patriotycznej.

„Kujawski Instytut Myśli Patriotycznej to fundacja założona w październiku 2022 roku przez czwórkę zaangażowanych społecznie młodych adeptów sektora pozarządowego. […] Naszą obecność w wirtualnej przestrzeni chcemy rozpocząć od przybliżenia Wam zespołu naszej fundacji. Tym samym w pierwszym poście przybliżymy Wam sylwetkę osoby, od której wszystko się zaczęło. Klara Lipka, Prezes Zarządu Fundacji Kujawski Instytut Myśli Patriotycznej” – głosi wpis na platformie X, okraszony zdjęciem pani prezes. Jakie konkretne działania Kujawski Instytut Myśli Patriotycznej (KIMP) podjął od października 2022 r. i po otrzymaniu w maju 2023 r. prawie 360 tys. zł rządowej dotacji? Otóż żadne. Może pani Lipka była zbyt zajęta asystenturą u bydgoskiego posła PiS Tomasza Latosy. Chuj wie, nie mnie oceniać.

Pozostali członkowie kierownictwa fundacji też mieli co robić. Wchodzący w skład zarządu z Lipką Edgar Kobos to narodowiec ze Świętokrzyskiego, którego Ministerstwo Spraw Zagranicznych wybrało na młodzieżowego delegata RP do ONZ. Ponadto zasiada w zarządzie powiązanego z Ordo Iuris związku stowarzyszeń Konfederacja Inicjatyw Pozarządowych Rzeczypospolitej. Ciekawostka: Kobos jest wiceprezesem fundacji Polski Instytut Liderów (PIL). Tam prezesem jest Sergiusz Trzeciak, znany komentator TVP Info.

PIL również otrzymał pieniądze z Narodowego Instytutu Wolności (216 tys. zł na projekt „Szlak trafił”).

Pochodząca z Trójmiasta wiceprezeska KIMP Dominika Kempa równolegle sprawowała funkcję pełnomocniczki klubu Fundacji Służba Niepodległej na swój region.

Kolejnym wiceprezesem został mianowany Filip Gwizdała, absolwent prawa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Myślałby kto, że anonimowa organizacja powiązana z PiS zgarnęła 360 koła i w swojej bezczelności przez tyle czasu nie pokusiła się nawet o bylejakość pozorów. Ale to przecież niemożliwe.

Nieloty z Warszawy

333 tys. złociszy na rozwój otrzymała założona w 2020 r. fundacja Tylko Orły.

Jak czytamy na jej stronie, działania fundacji inspirowane są przede wszystkim odwagą wielkich autorytetów Kościoła katolickiego, tj. kard. Stefana Wyszyńskiego, Jana Pawła II, o. Jana Góry OP, oraz innych bohaterów historii Polski XX w. Fajnie. Dokąd za Orłami poleciała kasa z NIW–CRSO, lepiej się nie interesować, bo można dostać kociej mordy. Sztandarowym do tej pory projektem był film „Wyszyński – zemsta czy przebaczenie” z 2021 r.

Fundacja od dwóch lat wspiera też placówkę misyjną w Zambii i prowadzony przez polskie siostry zakonne służebniczki starowiejskie szpital w Katombwe. Z informacji na stronie Orłów wynika, że na ten cel zebrano już od darczyńców 10 z potrzebnych 20 tys. zł. Szacun. Służebniczki starowiejskie na pewno nie posiadają się ze szczęścia.

Koniec roku to zwykle czas podsumowań. Z pewną troską spoglądam zatem w kalendarz, bo listopad ma się już ku końcowi i czasu niewiele. Mimo to wierzę, jak Bóg miły, że jeszcze się przyjemnie rozczaruję. Odszczekam i zjem własne kapcie pokutnie, gdy oni ruszą z kopyta. Poprawią, naprawią i wykażą, że warto było im przelać kasę z tej polskiej krwawicy.

IDALIA DUBICKA

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wojna obiektywnie przedstawiona

Cenię Was za całokształt Waszego pisma, które czytuję od zawsze, ale obecnie chcę wyrazić szczególne uznanie za obiektywne przedstawienie wojny Izraela z Hamasem i jej historycznego podłoża. W szczególności dla redaktorów M. Sanowskiego i od zawsze cenionej A. Wołk-Łaniewskiej. Serdecznie pozdrawiam

K. Mieszkowska, Kraków

Więzienie za ryby

Sprawy wymordowania ryb w Odrze nowy rząd nie powinien odkładać ad acta. Było przestępstwo, powinna być kara. Za każdą rybę karnie powinni odpowiedzieć minister Moskwa, wiceminister Ozdoba i premier Morawiecki. Powinni oni trafić do więzienia na czas symboliczny – pięć minut za rybę ważącą ponad kilogram i po minucie za każdą rybę ważącą do kilograma oraz skorupiaka. Ta symboliczna kara na pewno wstrząsnęłaby tymi zarozumiałymi i zadufanymi typami.

Jerzy Kałucki, Gdańsk

Wszystko przez Amerykę

Po wybuchu wojny w Izraelu widać całą obłudę USA, które przez dziesięciolecia nie potrafiły stworzyć państwa nękanym przez Żydów Palestyńczykom, ale szybko stworzyły Ukrainę w granicach wymarzonych przez Banderę, wiedząc, że dojdzie do wojny z Rosją. We wschodnich obwodach nie zapytano nawet w ogromnej mierze rosyjskojęzycznych mieszkańców, w którym kraju chcą żyć. Wyhodowano za to faszystów, którzy w 2014 r. siłą zagarnęli władzę i rozpętali wojnę we wschodnich obwodach.

Nikogo nie interesuje, że w tej wojnie dokonano ogromnych zniszczeń (rurociąg Nord Stream, zapora na Dnieprze w Nowej Kachowce). Nikogo nie obchodzi, że ta wojna pochłonęła już pół miliona ofiar. Ukraiński rząd dostaje pieniądze (3 mld dolarów miesięcznie, zwanych pomocą humanitarną) za zabijanie Rosjan – tylko po to rozpętano tę wojnę. Podobnie Palestyńczyków mają zabijać Żydzi. Pięć tysięcy ofiar w ciągu dwóch tygodni świadczy o „dzielności” Żydów. Szkoda tylko, że ci zabijani to cywile, w tym tysiące dzieci.

Andrzej Duda ciągle ględzi o „życiu nienarodzonych”, a jednocześnie „z całego serca” popiera te mordy, mętnie tłumacząc, że Hamas napadł na biednych Żydów. Gdyby iść tą ścieżką, należałoby tak samo potępić powstanie w getcie warszawskim. Tamten zryw, podobnie jak atak Hamasu, to gest rozpaczy. Gaza przypomina getto. Dwa miliony ludzi stłoczonych na powierzchni, jaką zajmuje Kraków. Jak ci ludzie żyją? To nikogo nie obchodzi. Do wybrzeży Gazy Amerykanie wysyłają dwa lotniskowce, a na Ukrainę coraz bardziej śmiercionośne wynalazki (w tym te zakazane przez prawo międzynarodowe). Takie postępowanie w końcu zmusi Rosję do użycia broni atomowej i Ukraina będzie wyglądać jak Korea po inwazji wojsk ONZ w 1953 r.

Obiema wojnami kierują Amerykanie. Zaczynają to rozumieć niektóre narody europejskie, które nie są tak jak Polacy ogłupione przez Kościół.

Czytelnik, Biała Podlaska

eprasa.pl 636a773d5d

Hulajnoga prezesa

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ekspercko-polityczny rząd dwutygodniowy.

Jestem – przyznaję z pewnym zawstydzeniem – fanką kryminałów. Ze szczególnym uwzględnieniem „Morderstw w Midsomer". To tasiemcowy serial BBC, który ma już 23 sezony, ale ostatnio przypomniał mi się odcinek jednego z pierwszych, zatytułowany „Drapieżcy".

Fabuła polega z grubsza na tym, że grupa ludzi inwestuje cały swój dorobek w tajemniczy wynalazek, który ma zrewolucjonizować transport: przełomowy, niewymagający paliwa cud techniki autorstwa słynnego z geniuszu konstruktora Charlesa Edmontona. Edmonton odmawia uchylenia rąbka tajemnicy, inwestorzy popadają w coraz głębszą nerwowość, przy okazji, jak to w kryminale, trup ściele się gęsto, a na końcu okazuje się, że rewolucyjna konstrukcja, w którą zainwestowano grube miliony funtów, to zwykła hulajnoga, albowiem geniusz ma alzheimera, co jego rodzina od lat starannie ukrywała przed opinią publiczną.

Pomysł

Myślę sobie, że wyborcy PiS, oglądając poniedziałkowe zaprzysiężenie trzeciego rządu Mateusza Morawieckiego, musieli poczuć się jak inwestorzy Edmontona, otwierający przesyłki z hulajnogami. Uczciwie mówiąc, sama się tak trochę poczułam, choć jako żywo niczego w ten rząd nie zainwestowałam.

Kilka godzin przed zaprzysiężeniem – oraz ujawnieniem – nowego rządu Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla PAP ogłosił: „Kształt rządu ekspercko-politycznego to mój pomysł". Dla ludzi wierzących w polityczny geniusz prezesa był to sygnał, że ten rząd ma, wbrew pozorom, sens. Że być może w jego składzie znajdą się ludzie szczególnie kompetentni, prawdziwi eksperci, którzy później – po nieuchronnym powołaniu rządu Tuska – staną się autentycznym gabinetem cieni bezwzględnie, ale i merytorycznie recenzującym funkcjonujący gabinet w każdej z dziedzin jego funkcjonowania. A może także – pisałam o tym kilka tygodni temu – przygotują dla Morawieckiego exposé, do którego będzie się mógł odwoływać. Plan działań tak znakomity i tak bezbłędnie odpowiadający na oczekiwania społeczne, że za każdym razem, kiedy nowy rząd przyniesie wyborcom rozczarowanie – co niechybnie będzie się wydarzać – Morawiecki będzie mógł powiedzieć: „A mój rząd w takiej sytuacji zrobiłby to i to". I wszyscy rozczarowani pomyślą sobie: „Cholera, to jest właśnie to, co trzeba by zrobić".

Rys. OBYWATEL JANEK

Dowód wdzięczności

I taki rozwój sytuacji, jakkolwiek mało prawdopodobny, nie był zupełnie niemożliwy. Ostatecznie co trzeci Polak nadal popiera Prawo i Sprawiedliwość. Nie da się wykluczyć, że w tym gronie są ludzie, którzy się na czymś znają. Przez osiem ostatnich lat stanowiska ministerialne były przydzielane dwóm typom ludzi: tym, którzy gwarantowali dyspozycyjność wobec partii, oraz tym, których dyspozycyjność trzeba było kupić dla utrzymania większości. Teraz, kiedy stanowiska ministrów w gabinecie Morawieckiego przestały być postrzegane jako cenna zdobycz, można byłoby sobie wyobrazić sytuację, w której zostaną zaoferowane według kryteriów merytorycznych ludziom, generalnie popierającym politykę PiS i gotowym podzielić się z partią swoją ekspertyzą dla dobra wspólnego. Wiedząc przy tym, że tak naprawdę ministrami nie zostaną, nie będą musieli porzucać pracy naukowej czy kariery zawodowej – ale, godząc się na objęcie tek ministerialnych w dwutygodniowym rządzie, przydadzą mu gravitasu, „staną i dadzą się policzyć" – jak mawiają Anglicy.

Nie był to kompletnie nonsensowny pomysł – taką osobą mógłby być np. twórca polskiego systemu podatkowego prof. Witold Modzelewski, który ma wyraźnie krytyczny stosunek do zapowiedzi podatkowych PO i często wypowiadał się pozytywnie o kierunku polityki gospodarczej PiS.

Tak się jednak – niespodzianka! – nie stało. Nowy rząd Mateusza Morawieckiego okazał się tak przełomowy jak hulajnoga. To owoc chaotycznej łapanki, złożony z beneficjentów ostatnich ośmiu lat, na których najwyraźniej wywarto nacisk pod hasłem: „pora się odwdzięczyć".

Większość nowych ministrów była wcześniej wiceministrami albo dyrektorami w swoich resortach. Co mogłoby być niezłym prognostykiem, gdyby te stanowiska były obsadzane przez PiS wedle kompetencji. Ale – powiedzmy – nie było to zasadą. Kilka przykładów.

Bibliotekarka, szpadzistka, farmaceutka

Marzena Małek, nowa minister aktywów państwowych, w 2015 r. była bibliotekarką w Radzyminie, ale zna Sasina, toteż przez ostatnie osiem lat zgromadziła pokaźne portfolio jako członkini zarządów i rad nadzorczych rozlicznych państwowych spółek. Absolwentka bibliotekoznawstwa i zarządzania kulturą.

Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej. Z wykształcenia magister inżynier inżynierii komunalnej, posiadaczka studiów podyplomowych z zakresu zarządzania bezpieczeństwem i higieną pracy.

Alvin Gajadhur, minister infrastruktury. Postać do tego stopnia bez znaczenia, że nawet nie zrobili mu oficjalnego zdjęcia – na rządowym portalu wisi w mundurze głównego inspektora transportu drogowego. Doktor nauk chemicznych z zakresu „otrzymywania optycznie czynnych pochodnych kwasu 2-fenoksypropionowego".

Dorota Bojemska, minister rodziny i polityki społecznej. Matka ośmiorga dzieci, członkini Krajowej Rady Związku Dużych Rodzin 3+. Informacji o wykształceniu brak, co może wskazywać, że żadnego nie posiada.

Danuta Dmowska-Andrzejuk, minister sportu i turystyki, szpadzistka. Absolwentka AWF i architektury wnętrz. Była już ministrem sportu, ale ją posunęli, kiedy trzeba było zrobić miejsce dla Kamila Bortniczuka.

Ewa Krajewska, minister zdrowia. Farmaceutka.

Andrzej Kosztowniak, minister finansów (ktoś w PiS ma jednak poczucie humoru). Były prezydent Radomia.

I wreszcie moja absolutna faworytka: minister kultury i dziedzictwa narodowego Dominika Chorosińska. To postać, przy której, pozwólcie, zatrzymam się na dłużej.

Gwiazda

Chorosińska – występująca wówczas pod panieńskim nazwiskiem Figurska – grała w serialu „M jak miłość". Ale nie jest to jedyny powód jej sławy. Była też imponująco otwarta wobec wszelkiego rodzaju plotkarskich mediów, dzięki czemu wiemy, że ma sześcioro dzieci, w tym pięcioro z mężem. Między trzecim a piątym męża porzuciła i zrobiła sobie czwarte z kochankiem, ale później „przypadkowo natknęła się na Dzienniczek s. Faustyny" i „zaczęła ją rozsadzać tęsknota za sakramentami", toteż powróciła na łono sakramentalnej rodziny, walnęła sobie jeszcze dwójkę („kiedy nie jest w ciąży, myśli sobie: tracę czas") i została twarzą kampanii „Wierność jest sexy". Tłumacząc, że ma ku temu szczególne kompetencje: „Zasmakowałam jednego i drugiego: życia w czystości, wierności oraz zdrady. I już z doświadczenia wiem, co dobre".

Drogę Dominiki Chorosińskiej do świętości (używanie nazwiska męża to element jej odmienionej, konserwatywnej osobowości) zainicjował występ w roli wdowy smoleńskiej w filmie Antoniego Krauzego, a potem poszło już z górki: program w Telewizji Republika, mandat radnej PiS i wreszcie biorące, ostatnie miejsce na liście PiS w okręgu podwarszawskim w roku 2019. Jeśli ktoś sądził, że profesor nauk humanistycznych Piotr Gliński nie miał kompetencji do kierowania ministerstwem kultury, niech to przemyśli jeszcze raz.

Przeczołgany

Rozpaczliwa zbieranina, z której Morawiecki wyrzeźbił swój groteskowy rząd, nie pozostawia wątpliwości, iż rację mają ci, którzy mówili od początku, że chodzi tylko o opóźnienie oddania władzy, czyli deale i pensje, które jeszcze da się z tych kilku tygodni wycisnąć.

Nie pozostawia wątpliwości także co do innego faktu: Jarosław

Kaczyński naprawdę nie jest w najlepszej formie. Fakt, że przyznał się do odpowiedzialności za to polityczne potorocze – choć spokojnie mógł zrzucić ją na barki premiera, który przecież nie byłby w stanie sprostować, mówiąc: „Nie, to prezes mi urządził gabinet" – dowodzi, że legendarny instynkt polityczny wodza Prawa i Sprawiedliwości gaśnie.

Acz nie wszystko się zmienia. Niezmienna jest, jak się zdaje, przyjemność, którą Kaczyński czerpie z publicznego upokarzania swoich ludzi. W 48 godzin po tym, jak Mariusz Błaszczak poinformował w Polskim Radiu, iż nie wejdzie do rządu, albowiem jest „politykiem z pierwszego szeregu PiS", tenże sam Błaszczak stał z rozpaczliwym wyrazem twarzy u boku Mateusza Morawieckiego i dzielił jego żałosny los. Żeby wszyscy pamiętali, kto tu decyduje.

Jestem wielce ciekawa, jak długo jeszcze.

AWŁ

eprasa.pl 636a773d5d

GADMAN

Dom zły

Na początku bywa słowo. Myśli zapisywane, aby były. Ważne i nawet te frywolne. Bo śmiech to jeden z filarów ludzkiej cywilizacji. Autoironia to najszlachetniejszy destylat śmiechu.

Ludzi mądrych, lecz jednocześnie wesołych, nie poważa się w Europie Środkowo-Wschodniej. Tutejsze elity wychowywane na XIX-wiecznym szlachecko-inteligenckim romantyzmie cenią jedynie rozum w mrocznym sosie.

Dlatego bratnich kulturowo Ukraińców zaskoczyła sprawna prezydentura Zełenskiego, uważanego wcześniej za sprawnego showmana, ale przecież też niepoważnego komika. Wielu Polaków nadal nie dowierza, że skandalista i wesołek Jerzy Urban był znakomitym analitykiem politycznym i jednym z architektów przełomowego dla Polski porozumienia Okrągłego Stołu.

Podobnie dziś wielu wpada w osłupienie, że Szymon Hołownia sprawnie prowadzi obrady sejmu, choć debiutuje w roli posła i marszałka. Bo był powszechnie uważany jedynie za cudowne dziecko polskiego show-biznesu. Najpierw autora 21 pozycji książkowych. W każdej pisał o sobie, a także o Panu Bogu i czasem polskim Kościele kat. Stylem polskiego Paula Coelho. Publikował też sporo w wielu gazetach i innych czasopismach. Prowadził audycje w różnych rozgłośniach radiowych, był nawet gwiazdą telewizyjnych programów rozrywkowych.

Przerwa na reklamę

Pewnie dlatego może teraz występować na najbardziej prestiżowej scenie w Polsce, i to w jednej z głównych ról. Już podczas pierwszych występów na sali plenarnej sejmu zyskał wielką medialną sławę. Sprawił, że oglądalność niszowego niedawno telewizyjnego kanału sejmowego gwałtownie wzrosła.

Jest teraz częściej oglądany niż wiele innych poświęconych polityce kanałów telewizyjnych i radiowych. Zwłaszcza przez ludzi młodych, którzy wcześniej olewali polityczne telewizje i radia. Jeśli dalej taki trend się utrzyma, to nie zdziwię się, kiedy w telewizyjnym sejmowym kanale pojawią się spoty reklamowe. Najpierw będą to reklamy społecznościowe promujące organizacje działające na rzecz dobra społecznego, zwłaszcza te non profit.

Potem będziemy mogli zobaczyć podczas transmisji z posiedzeń komisji sejmowych zbliżenia etykiet obecnych tam butelek z wodą gazowaną i bez gazu. Utrwalających w świadomości obywateli logo producenta napojów. Podobne logo producentów świńskich kabanosów lub wegańskich burgerów pojawią się potem w sejmowych restauracjach i zlokalizowanym w hotelu sejmowym sklepie spożywczym. Nawet producentów piwa, ale pewnie jedynie bezalkoholowego i tylko pierwszego kwietnia.

Wkrótce nie będziemy się już dziwić, kiedy pędzący do sali posiedzeń parlamentarzyści będą przez chwilę pozować dla mediów na ściance pełnej znaków i logo firm oferujących parlamentarzystom i pozostałym obywatelom usługi bankowe, telekomunikacyjne, transportowe, farmaceutyczne czy odzieżowe.

Nie zdziwimy się kiedy na sali plenarnej obok wiszącego tam nadal Jezusa pojawią się logo Polsatu i TVN. Niczym dwóch łotrów. A poniżej wypasiona reklama hot dogów ze stacji już zdemokratyzowanego Orlenu.

Nie zdziwimy się nawet, kiedy każde publiczne pojawienie się pana marszałka Szymona wywoływać będzie histeryczne piski jego politycznych groupies i jednoczesne buczenia jego przeciwników politycznych.

Rys. JANUARY

Strefy prywatne

W pierwszym dniu swego marszałkowania poseł Szymon Hołownia uczynił gmach parlamentu bardziej dostępnym dla obywateli i dziennikarzy. Zapowiedział dalsze reformy usprawniające pracę w sejmie.

Podpowiem mu dwie. Bylem posłem Sejmu RP przez trzy kadencje, pracowałem też tam jako dziennikarz i doradca klubu parlamentarnego. Znam ten gmach od podszewki. Niejednej nawet.

Gmach parlamentu przy Wiejskiej to jednocześnie miejsce pracy i wypoczynku parlamentarzystów. Znajdą tam wszystko, co niezbędne. Restauracje i bary, spożywczak, kiosk, banki, bankomaty, sklepy z odzieżą, pamiątkami i kwiatami, fryzjera, kasy PKP i PLL LOT, saunę, basen, salę kinową i kaplicę Kościoła kat. Za moich czasów była tam też księgarnia, ale potem nie miała wzięcia. No i jest hotel dla parlamentarzystów. Z wyposażeniem w stylu późnego Gierka.

W dzień gmach parlamentu przypomina jakiś zakład. Wieczorem i w nocy mariaż studenckiego akademika i koszar wojskowych. Parlamentarzyści nie mają sztywno ustalonych godzin pracy. I godzin niepracy też. Nie pobierają pensji, tylko uposażenia poselskie. Nie pracują ściśle według kodeksu pracy. Ich życie to mieszanina pracy i relaksu.

Kiedy zaczęła się kształtować w III RP demokracja parlamentarna, między parlamentarzystami a dziennikarzami zapanowała typowa szorstka przyjaźń. Żerujący na pracy parlamentarzystów dziennikarze starali się zawierać z nimi przyjaźnie. Za lansowanie polityków w mediach oczekiwali od nich poufnych informacji. Kiedy nie otrzymywali ich w wystarczających ilościach, zaczynali je zbierać na własną rękę. Korzystając z niepisanego prawa do przebywania w restauracjach, pokojach, barach, saunie i basenie parlamentarnym o każdej porze.

Ponieważ najlepiej w mediach sprzedają się kompromaty, to media zaroiły się od nich. Najczęściej były to pełne oburzenia informacje o parlamentarzystach pijących alkohol. A co ma robić parlamentarzysta, kiedy ma przerwę w pracy, ale musi dalej siedzieć w tym ponurym gmachu? Mógłby przecież zabijać, ale zwykle humanitarnie wybiera picie.

Kiedy byłem w parlamencie belgijskim, widziałem tam rozwiązanie warte skopiowania w polskim gmachu. W belgijskim pod jednym dachem też pracują sejm i senat. Tam, gdzie jest terytorium poselskie, na korytarzach, schodach i w salach posiedzeń są dywany koloru poselskiego. Wtedy były chyba bordowe. Tam, gdzie rządzą senatorowie, są dywany niebieskie.

Zasady są proste. Posłowie unikają dywanów senatorskich, senatorowie – poselskich. Pracujący tam dziennikarze mogą poruszać się po poselskich i senatorskich. I zbierać potrzebne im do pracy informacje wyłącznie z miejsc pracy parlamentu.

W tymże gmachu parlamentu jest też przestrzeń wspólna dla stanu poselskiego i senatorskiego. To restauracje parlamentarne, pokoje do pracy i wypoczynku, część hotelowa. Strefa niepracy. Wypoczynku. Strefa białych dywanów.

Dobry zwyczaj sprawia, że dziennikarze nie poruszają się w tej strefie. Omijają białe dywany szerokim łukiem. Dzięki takiemu zwyczajowi tamtejszych parlamentarzystów rozlicza się przede wszystkim z efektów ich pracy, a nie z tego, co robią po pracy w hotelu parlamentarnym.

Studio nagrań

Kiedy powstał pierwszy rząd PiS, gmach Sejmu RP zaczął służyć też parlamentarzystom, dziennikarzom i specsłużbom jako miejsce sekretnych nagrań i podsłuchów. W roku 2006 posłanka Samoobrony Renata Beger nagrała, jak politycy PiS obiecują jej posady i pomoc finansową sejmu w zamian za przejście do PiS. Po ujawnieniu nagrania w programie TVN „Teraz my" rozpętała się burza medialna.

Przy okazji pytano o rolę dziennikarzy TVN w przygotowaniu posłanki Beger do tego nagrania.

Potem podsłuchiwanie i nagrywanie parlamentarzystów stało się w Polsce normalnym politycznym zwyczajem. Nagrywano przeciwników politycznych w popularnych wśród polityków restauracjach (słynna Sowa i Przyjaciele) i wielokrotnie w gmachu sejmu.

Niedawno Tomasz Kaczmarek, agent CBA w latach 2006–2010 i poseł PiS w latach 2011–2015, zwany często w medialnych publikacjach agentem Tomkiem, zeznał, że ówczesne szefostwo CBA, czyli Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, nakazało mu sekretnie nagrywać politycznych konkurentów. A także polityków z ich partii, czyli PiS. Aby zapewne zgromadzić na nich kompromaty.

Skoro marszałek Szymon Hołownia zapowiedział ograniczenie działalności prywatnych specsłużb ochroniarskich, to może wprowadziłby też zakaz zakładania podsłuchów i nielegalnego nagrywania w gmachu Sejmu RP? A także solidne kary dla takich fono-amatorów.

Niech zatem nowy marszałek wykaże się sprawnością i talentami również na tych polach.

PIOTR GADZINOWSKI

Jak to Jarosław królem nie został

ETYKA BEZBOŻNA

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nasz drogi były prezes Polski Jarosław Kaczyński popadł ostatnio w wisielczy nastrój. Co dzień opowiada o końcu państwa polskiego, który ma nadejść wraz z przeprowadzeniem reformy traktatów unijnych, w której wyniku Unia Europejska będzie się rządzić bez obowiązującego obecnie liberum veto, a sprawy praworządności w państwach członkowskich, jak również ochrony wspólnych granic, będą wprost włączone do zakresu kompetencji Wspólnoty. Nie będą to zresztą żadne tam rządy wspólne, lecz po prostu dyktat Niemiec, no, może z małą pomocą Francji. A taki Tusk to zwykły zdrajca, który popierając tę politykę, pcha nasz kraj w objęcia Niemiec.

Cóż, jako że nie ma mowy o reformie traktatów bez zgody wszystkich co do jednego państw UE, więc dalszą integrację na razie można włożyć między bajki, i to pomimo uruchomienia procedury poprzez głosowanie w Parlamencie Europejskim. Głosowanie, w którym zresztą europosłowie od Tuska byli przeciw, najwyraźniej bojąc się pisowskiej propagandy. Cała sprawa z dalszą integracją jest na razie czysto teoretyczna, lecz kwestia suwerenności narodowej i państwowej pozostaje całkiem realna. Unia Europejska jest na tyle ścisłym i trwałym związkiem międzypaństwowym, że można w tym przypadku mówić o zrzeczeniu się przez kraje członkowskie części swojej suwerenności na rzecz pozostałych, jakkolwiek w zamian za uzyskanie pewnej władzy nad tymiż państwami. Takie coś za coś.

Słowo „suwerenność" nie do końca tu jednakże pasuje, bo z definicji suwerenność oznacza „pełnię władzy", przez co zwrot „część suwerenności" jest nielogiczny. Raczej trzeba by powiedzieć, że w Unii po prostu dzielimy się władzą, czyli że nasze państwa rezygnują ze statusu izolowanych suwerennych republik, którym nikt nie może niczego narzucić. Nie mówi się o tym głośno, ale tak właśnie jest. Nie mówi się głośno, bo narody w epoce nacjonalistycznego szaleństwa ideologicznego wieku XIX i XX dały sobie wmówić, że wolność dla narodu oznacza całkowitą jego suwerenność w ramach państwa narodowego. Jest to jeden z najbardziej szkodliwych i durnych mitów politycznych epoki nowożytnej, niemniej na tyle się on przyjął i upowszechnił, że mało kto ma odwagę publicznie go podważać. No, ale od czego nasza rubryka!

Zacznijmy od tego, że populiści naszych czasów, tacy jak Jarosław Kaczyński, kochają powoływać się na ideę suwerenności z jednego konkretnego powodu: otóż za jej pomocą mogą sobie przypisywać dowolną, niczym nieograniczoną władzę. Skoro bowiem suweren ich wybrał i powierzył im rządzenie w swoim imieniu, to tym samym złożył w ich ręce całą swoją władzę. A władza suwerena jest niczym nieograniczona. Skoro więc PiS wygrał wybory, to znaczy, że naród pozwolił mu robić ze sobą, co mu się tylko podoba. Wystarczy tylko powiedzieć, że taka jest wola ludu. Pojęcie suwerenności służy więc uzasadnianiu dyktatury. Dość paradoksalnemu, gdyż narzędziem jej legitymizacji, czyli uzasadnienia, jest demokratyczny akt wyborczy. I faktycznie pełno jest na świecie raz kiedyś tam wybranych suwerenów rządzących w imieniu ludu, których kolejnej weryfikacji wyborczej nie należy poddawać, skoro przecież są emanacją woli narodu. Jakże wybory mogłyby to podważyć?!

Trik z suwerennością polega właśnie na tym, że łączy zwyczajną despotię z ideą wolności oraz aktem demokratycznym. Wymyślił go w XVII w. angielski filozof Thomas Hobbes. Otóż twierdził on, że ludzie w stanie natury są dla siebie jak wilki – tylko by się zabijali. Żeby tak nie było, umawiają się w ten sposób, że całą władzę zabijania i w ogóle wszelką władzę wspólnie powierzą jednemu człowiekowi. Obdarzą go suwerennością, czyli władzą niemal absolutną („niemal", bo jak taki delikwent zacznie wszystkich naokoło wybijać, to jednak trzeba go będzie w obronie własnej sprzątnąć i wyłonić kogoś mniej krwiożerczego), a sami się wszelkiej władzy wyrzekną. Transakcja polega więc na tym, że lud zrzeka się swych praw na rzecz monarchy-suwerena, w zamian za co zyskuje

eprasa.pl 636a773d5d

Jeśli myślisz, że są rzeczy czy czynności, od których nie płacisz podatku, to możesz się mylić.

Zapodatkowani

Co 20. nasz rodak i rodaczka są przekonani, że nie płacą żadnych podatków. O tym, że jest coś takiego jak podatek PIT, wie 85 proc.

Łaska nieświadomości

Trzy czwarte kojarzy, że istnieją też VAT i podatek od nieruchomości. Tyle, jeśli chodzi o teoretyczną znajomość fiskalizmu w Polsce. Gdy jednak spytać rodaków o to, jakie podatki sami płacą, to zaczyna być interesująco. Do odprowadzania PIT przyznało się bowiem 77 proc. dorosłych. Co może nie jest tak zupełnie od czapy. Rolnicy na przykład PIT rzeczywiście nie płacą, bo mają podatek rolny. Poza tym od jakiegoś czasu zerowy PIT mają też młodzi ludzie do 26. roku życia.

Jeśli jednak 45 proc. polskiej populacji uważa, że nie płaci VAT, to znaczy, że albo polski system edukacji produkuje idiotów, albo ludzi niepotrafiących czytać. Każdy sklepik, kino czy fryzjer ma oblig drukowania paragonu. Na nim zaś jak byk stoi, że w ramach VAT odprowadziliśmy fiskusowi za pośrednictwem sklepu czy punktu usługowego tyle a tyle. Bo nie ma siły, żebyśmy kupowali wyłącznie tych kilkadziesiąt artykułów, na które VAT wynosi zero procent.

Tego, że płaci podatek akcyzowy, nie wie 80 proc. z nas. No bo faktycznie można nie mieć samochodu, gdzie akcyza jest w paliwie. Można nawet nie palić fajek i być abstynentem, i w ten sposób nie dokładać akcyzy budżetowi. Można też nie mieć objętego tym podatkiem gazu, ale nie ma siły, by nie mieć w domu prądu. Cena prądu zaś ma w sobie – oprócz miliona innych składowych – również podatek akcyzowy.

Jak nie deszczem, to reklamówką

Skoro nie mamy pojęcia o podstawowych podatkach, to nie dziwota, że PiS mogło łupić Polaków, ile i na czym wlezie.

Nowa władza musi przyjąć budżet wymyślony przez PiS. Z niego zaś wynika, że w przyszłym roku zapłacimy państwu w ramach podatków 607,8 mld zł. To o 15,7 proc. więcej niż rok wcześniej. Dużo więcej, niż wyniosła tegoroczna średnia inflacja. Z tego zaś wynika, że PiS, licząc na wygranie wyborów, przymierzało się do jeszcze solidniejszego niż wcześniej złupienia naszych portfeli.

Partia Kaczyńskiego, oprócz opowiadania bzdur o tym, jak nagle staliśmy się strasznie bogatym państwem, od początku wymyślała coraz to nowe podatki. A gdy brakowało jej kreatywności w tej kwestii, to po prostu likwidowała ulgi, co powodowało wzrost obciążeń każdego obywatela.

Od 1 lutego 2016 r. hula podatek bankowy. Oczywiście odprowadzają go banki, ale zrzucają się na niego wszyscy z banków korzystający. To znaczy my. W przyszłym roku za pośrednictwem banków zostaniemy więc złupieni na 6,25 mld zł. Niemal o miliard więcej niż rok wcześniej.

Podatek handlowy płacą za nas od dwóch lat sklepy. Gdyby nie on, moglibyśmy w przyszłym roku zostawić w placówkach handlowych o 4,63 mld zł mniej.

Podatek od wydobycia niektórych kopalin wymyślił jeszcze poprzedni rząd Tuska. Ale wtedy obejmował on tylko wydobycie miedzi oraz srebra i dotyczył tylko KGHM. Od 1 stycznia 2016 r. dotyczy i wydobycia ropy naftowej, i gazu ziemnego. Dzięki czemu za gaz i paliwo zapłacimy tym podatkiem w 2024 r. o 2 mld zł więcej.

Opłata mocowa po raz pierwszy pojawiła się na rachunkach za prąd w styczniu 2021 r. tylko po to, żeby prąd był droższy. Opłata emisyjna od paliw hula od 2019 r., podnosząc ceny paliwa o kolejny składnik podatkowy.

Od 2022 r. PiS ustaliło, że co roku akcyza na alkohol będzie automatycznie podwyższana o 5 proc., a na papierosy – o 10 proc. Ba, jeszcze w 2020 r. wprowadzono podatek akcyzowy na e-papierosy.

Opłata za pobór wód obowiązuje od początku 2018 r. Podatek od deszczu wprowadzono w 2018 r. Rok później zaczął hulać podatek od wyprowadzki, czyli dla firm lub osób chcących wynieść swój biznes z Polski, co może aż tak głupie akurat nie jest. Tak jak danina solidarnościowa, czyli trzeci próg podatkowy, który obowiązuje od 2019 r. Podatek ten wynosi 4 proc. od nadwyżki dochodu ponad kwotę 1 mln zł, co pokazuje, że żadnemu bogatemu zbyt dużo się nie zabiera. W przeciwieństwie do podatku od internetowych serwisów VOD, czyli wideo na życzenie, działającego od lipca 2020 r., który nieźle walnął miliony ludzi po kieszeni.

Ignoranci podatkowi na pewno nie mają pojęcia, że od początku 2021 r. uiszczają opłatę cukrową od napojów słodzonych. Tak samo jak nie wiedzą, że wraz z opłatą cukrową wskoczyła też opłata od alkoholu sprzedawanego w mniejszych opakowaniach, czyli podatek małpkowy.

Ilu z nas wie, że od pięciu lat uiszcza opłatę recyklingową, czyli haracz dla państwa za każdą wydawaną przy kasie jednorazową torbę plastikową? Od tego samego czasu za zakupy w galeriach handlowych becelujemy też więcej przez podatek od przychodów z budynków.

Oczywiście ignorant podatkowy powie, że wszystkie te podatki i opłaty regulujemy nie my, ale banki, firmy paliwowe, sklepy internetowe czy portale filmowe. Bo i owszem – płacą. Z tym, że z pieniędzy, o które wcześniej podnieśli nam ceny.

Oczywiście PiS nie mogło się nachwalić w Polskim Ładzie, jak to podniosło kwotę wolną od podatku PIT do 30 tys. zł. Niemal nikt nie zwrócił jednak uwagi, że w tym samym momencie zlikwidowano możliwość odliczenia od tego podatku składki zdrowotnej. Efekt dla większości pracujących był niezauważalny, bo jedna pozycja równoważyła drugą. Złodziejski majstersztyk dał o sobie znać w przypadku ludzi samozatrudnionych. Znaczy choćby bizneswoman zajmujących się sprzątaniem biur i hal fabrycznych. Przez rok od podniesienia kwoty wolnej ludzie pracujący na własny rachunek zapłacili państwu w ramach podatków i składek o 7,2 mld zł (czyli ok. 80 proc.) więcej niż rok wcześniej.

W tym roku PiS poszło jeszcze dalej i odebrało samozatrudnionym możliwość wkładania w koszty działalności amortyzacji budynków i mieszkań, co powodowało, że płacone przez nich podatki mogły być niższe.

Burmistrz ostrzy zęby

Polska ignorancja podatkowa niemal nie dostrzega tego, że nie tylko władza państwowa nas łupi. Ta lokalna również. Ma od tego podatki i opłaty lokalne. Na szczęście od zawsze wszystkie one są ustalane na szczeblu ministerialnym. Gdyby nie limity, to samorządowcy dopiero wszystkim pogoniliby kota. Dowodzą tego stawki podatków od nieruchomości, za psa, opłat klimatycznych, targowiskowych i mnóstwa innych. W 99 proc. przypadków ich wartość sięga górnych widełek kwoty, na którą zezwala rozporządzenie.

Oczywiście – tak jak w przypadku państwa – samorządom te pieniądze są potrzebne nie po to, żeby dać zarobić firmom żony czy kumpla bądź tym, które dały największą łapówkę. Pieniądze są potrzebne samorządom, by robić dobrze obywatelom.

Po tym, jak samorządowa pazerność dostała po łapach zarówno w trybunale Przyłębskiej, jak i w sądach, Związek Miast Polskich już zaczął kombinować, jakim by tu nowym haraczem uszczęśliwić mieszkańców. Trybunał zakwestionował bowiem dotychczasową definicję budynku i tego, co jest powierzchnią mieszkalną, a co użytkową. Między innymi kwestię opodatkowanych kosmicznymi stawkami garaży podziemnych, o czym pisaliśmy kilka tygodni temu.

Samorządowcy nie mogą bowiem ścierpieć, że nieruchomości w centrum Warszawy i na dalekiej prowincji są dziś tak samo opodatkowane, mimo że różnica wartości jest ogromna. Kombinują więc, jak zmusić nowy rząd do wprowadzenia podatku katastralnego. Znaczy takiego, który byłby płacony od wartości nieruchomości, bez względu na jej przeznaczenie. I jak ktoś ze skromną emeryturą będzie mieszkał obok Pałacu Kultury, to musiałby za bycie posiadaczem takiej drogiej nieruchomości płacić połowę swojej emerytury.

Ale nie lękajcie się! Sprawa podatku katastralnego wraca co kilka lat i zaraz zdycha. Teraz też tak będzie. Na szczęście żyjemy w Polsce. Kraju, w którym tego nie da się zrobić przez przynajmniej jeszcze dziesięć lat.

Bo nawet gdyby samorządowcy nie wiadomo jak płakali przed miłującymi lokalność ugrupowaniami nowej większości sejmowej, to się nie da. Brakuje bowiem zintegrowanych baz i rejestrów z aktualnymi danymi o nieruchomościach. Brakuje podstawowych danych, by sprawdzić, jaka jest rzeczywista sytuacja mieszkaniowa Polaków, i podstawowych narzędzi, by móc ją zmienić.

Kiszka z bazami danych ujawniła się choćby przy okazji wprowadzania dopłat do kredytu 2 proc., gdzie prawo do skorzystania z ogromnych dopłat z kieszeni podatników nie jest weryfikowane, ale opiera się na składaniu oświadczenia przez kredytobiorcę, że nie posiada i nie posiadał innego mieszkania. Brak spisu umożliwiającego szybkie sprawdzenie, ile dana osoba czy podmiot ma lokali mieszkalnych i który z kolei kupuje, wyszedł też przy okazji nieudanej próby ograniczenia hurtowych zakupów mieszkań.

I to w tym, a nie w deklaracjach polityków, że katastru nie wprowadzą, należy pokładać nadzieję. Bo bez sensu byłoby, że za coś, na co pół życia pracowaliśmy, by bankowi oddać odsetki od odsetek, przyjdzie nam co miesiąc płacić teraz samorządowi.

TADEUSZ JASIŃSKI

bezpieczeństwo. Zdaniem Hobbesa w taki sposób właśnie powstają państwa i nie ma co się na to obrażać.

Angielskim zwolennikom parlamentaryzmu i demokracji, takim jak John Locke, bardzo się takie „samozniewolenie” ludu wobec suwerena nie podobało. Wymyślili za to ustrój, w którym suwerenność, czyli pełnia władzy, nie jest oddawana królowi, lecz zarówno król, jak i w ogóle cały „rząd” (to słowo znaczyło dawniej wszystkie organy władzy publicznej razem wzięte) są niejako wynajęci do sprawowania władzy przez suwerenny lud albo naród, działający za pośrednictwem wybranych przez siebie reprezentantów, czyli parlament.

W świecie Hobbesa suwerenem jest król, a jego władza jest tak wielka, że sam nie podlega prawom, które dowolnie ustanawia. W świecie Locke'a i tzw. liberalnych demokratów suwerenem jest naród i właśnie dlatego żaden organ władzy ani polityk nie stoi ponad prawem i nie posiada władzy nieograniczonej. Wręcz przeciwnie – właśnie dlatego, że to naród jest suwerenny, a nie król albo rząd, politycy działają jako przedstawiciele narodu, pod jego nadzorem i w ramach tzw. mandatu, czyli w zakresie ściśle wyznaczonym przez suwerena. Jest to świat bardzo niemiły prezesowi, który wolałby, aby naród raz dał mu władzę, i to całą, a potem już się nie wtrącał. Tymczasem idea suwerennego ludu zakłada, że rząd jest zawsze ograniczony. Ograniczony, czyli robi tylko to, na co mu lud w konstytucji zezwolił i do czego go na określony czas powołał. Kto więc mówi o suwerenie, mając na myśli lud czy naród, ten afirmuje ustrój, w którym władza ma stosunkowo niewiele do powiedzenia, bo podlega ciągłej kontroli i weryfikacji. Ustrój ten, zwany liberalną demokracją, gwarantuje, że żaden Kaczyński nie zostanie dyktatorem i nie będzie sobie robił z narodem, co mu się żywnie podoba. Po prostu w tym ustroju rządzący są tylko wybranymi na pewien czas reprezentantami narodu, a nie władcami, którym naród złożył u stóp swą władzę nad sobą i uczynił suwerenami.

Ale to jeszcze nie wszystko! Suwerenność jest tym samym co wolność zbiorowa. Jest ona wartością jedynie wtedy, gdy ma podstawę w wolności jednostki. Gdyby jej nie było, żaden wspólny akt zbiorowej wolności, na przykład wolny wybór członków parlamentu, nie byłby w ogóle możliwy. Dlatego ustrój wolności zakłada bezwzględne konstytucyjne gwarancje swobód osobistych i praw politycznych dla każdego obywatela. I żeby nie były to czcze deklaracje, lecz realne zabezpieczenia, wymyślono cały szereg instytucji i zasad konstytucyjnych, których żadnej władzy nie wolno zmienić. Należą do nich trójpodział władzy, niezawisłość sądów czy kadencyjność organów władzy.

Krótko mówiąc, naród jest suwerenny, gdy jego państwo jest demokratyczne i praworządne, a traci suwerenność, gdy staje się dyktaturą. I doprawdy nie ma wielkiego znaczenia narodowość dyktatora. Dla Koreańczyków to żadna pociecha, że ich tyran jest ich rodakiem. Korea jest, owszem, suwerenna, ale tylko w znaczeniu Hobbesowskim – suwerenem jest Kim Dzong Un, a nie lud koreański.

Czy wobec tego wszystko jedno, kto stanowi prawa dla Polaków? Czy to w porządku, gdy inne kraje narzucą nam coś, czego sami byśmy nie chcieli? Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie, bo to zależy, o co chodzi. Z pewnością są jakieś granice tego wymieniania się władzą z sąsiadami, skoro chcemy mieć swoje własne odrębne państwa, jakkolwiek zawsze trzeba pamiętać o tym, że każde państwo jest zależne od innych, a gdy się izoluje, to popada w nędzę i zależność tym większą. Suwerenność jako izolacja i robienie wszystkiego po swojemu to prosta droga do utraty dobrobytu i niepodległości. A co do Unii Europejskiej i granic jej integracji, to pewne jest jedno: gdy chodzi o naszą wolność i prawa podstawowe, to jeśli tylko Niemiec z Maltańczykiem mogą nam pomóc je zachować i nie utracić ich na rzecz prezesa, powinniśmy ich pomoc w tym zakresie przyjmować z największą wdzięcznością. Kto wie, czy bez Unii Europejskiej udałoby się nam dzisiaj wydobyć z pisowskiej matni, w którą zapędzili nas przed ośmioma laty Kaczyński i spółka (z małą pomocą ruskiej agentury).

JAN HARTMAN

eprasa.pl 636a773d5d

Poborcy kopertowi

Polski ksiądz nie jest od nawracania, tylko od zbierania szmalu.

Każdy akwizytor telefoniczny kocha ludzi, którzy tuż po tym, gdy się przedstawi, rozłączają rozmowę. Dzięki tej nieuprzejmości telemarketer nie musi produkować się kilka minut, plując na mikrofon tylko po to, żeby na końcu miłej rozmowy usłyszeć, że klient nie jest zainteresowany. W czasie takiej przyjemnej gadki telefoniczny sprzedawca mógłby zadzwonić do kogoś, kto ofertę by łyknął i dał mu zarobić.

Niewiernych nie obsługujemy

Tę korporacyjną prawdę posiedli ostatnio księża. Nie będą marnowali czasu i nawiedzali kolędniczo mieszkań, gdzie odprawią na siłę swoje czary-mary, a potem nie dostaną koperty. Nie zapukają do drzwi, zza których wyskoczy pies i albo poszarpie sutannę, albo przynajmniej ją oślini. Nie nacisną dzwonka, a potem znowu i znowu, bo przecież widzieli w wizjerze, że w mieszkaniu ktoś jest, a na dodatek słychać z niego telewizor. Stanie pod domofonem, gdy nikt nie chce otworzyć drzwi do klatki, też jest niefajne, tak jak czekanie na jakiegoś ciecia, który wpuściłby księdza na chronione szlabanami osiedle.

Każda stracona na bezsensownych czynnościach minuta to przy kilkudziesięciu adresach dziennie bita godzina, w czasie której każdy ksiądz mógłby robić znacznie przyjemniejsze rzeczy. Kościelni poborcy kopertowi wpadli więc na pomysł, jak zoptymalizować swój czas i zyski.

Stąd na warszawskich Włochach księża proszą w internecie i na mszach, żeby mieszkańcy nowych bloków i osoby, które w ostatnich trzech latach nie przyjmowały księży, same zgłosiły się z prośbą o wizytę duszpasterską w kancelarii parafii. Jeżeli tego nie zrobią, ich mieszkania będą pomijane. Żeby tylko… Katabasy z Włoch żądają wręcz, by zgłaszali się do nich ochotnicy, którzy mogliby przywieźć księdza i odwieźć go po zakończeniu kolędy. A to dlatego, że nie chcą marnować czasu na wjazdach na zamknięte osiedla, na których nie ma dla nich specjalnych miejsc parkingowych. Koloratkowi z Włoch są szczerzy aż do bólu. W internecie napisali wprost, że „w obecnym czasie mamy do odwiedzenia dużo nowych mieszkańców i szkoda nam czasu na szukanie wolnego miejsca parkingowego i na stanie przed bramką". Bo, jak wiadomo, czas to pieniądz.

Parafia na krakowskim Kurdwanowie ma na swojej stronie internetowej specjalny formularz zapisów. Parafianin musi tylko uzupełnić rubryki i nacisnąć „Wyślij". Rubryki zaś to: „Twoje imię i nazwisko (wymagane)", „Telefon (wymagane)", „Twój adres e-mail (wymagane)", „Ile mogę przyjąć osób? (wymagane)". O zbieraniu i przetwarzaniu danych, czyli o RODO, nie ma zaś ani słowa. Co wskazywać by mogło, że Kościół nauczył się, że w dobie internetu zarabia się na sprzedawaniu danych teleadresowych firmom handlującym czym się da.

Ksiądz pleban się nie zbliży

Parafia z Łodzi też przygotowała dla wiernych specjalny formularz. Każdy, kto chce, by do jego domu zawitał ksiądz, musi wypełnić druk, a następnie złożyć go w kancelarii lub na zakrystii. Jeżeli go nie złoży, to ksiądz zachowa się jak starotestamentowy anioł zagłady natykający się na drzwi posmarowane krwią baranka. „Kapłan z Kolędą indywidualną będzie wchodził tylko do tych rodzin, które złożą »Formularz zgłoszenia na Kolędę«" – można przeczytać na stronie parafii.

Stolica nie jest gorsza. W parafii Świętej Rodziny na pograniczu Włoch i Ursusa księża informują:

Rysunki MIROSŁAW HAJNOS

„Mieszkańców, którzy w ostatnich trzech latach nie przyjmowali księży albo nie uczestniczyli w mszach św. kolędowych, a w tym roku pragną przyjąć, również prosimy o zgłaszanie się, ponieważ mieszkania te będą omijane". Jeśli jednak ktoś z tego towarzystwa chciałby księdza podjąć, to ma zgłosić się do kancelarii i poprosić grzecznie o kolędę. Parafianie mają na to czas do 1 stycznia 2024 r.

Niestety, z szansy bycia nawiedzonym przez księdza nie skorzystają parafianie od św. Szczepana. Tam zapisy na wizyty domowe kończą się 26 listopada.

„Wychodząc naprzeciw sugestiom naszych Parafian, w tym roku liturgicznym – czyli na przełomie 2023 i 2024 – wizyta duszpasterska (kolęda) odbędzie się po uprzednim zaproszeniu, które możemy zgłosić w zakrystii lub kancelarii parafialnej, wypełniając stosowną deklarację dostępną na kartce przy wyjściu z kościoła, jak również na internetowej stronie parafii (formularz zgłoszenia). Serdecznie zachęcamy do wypełnienia tych zgłoszeń do 30 listopada 2023 r." – tak to się zaś robi w Falenicy.

W Krakowie zastosowano jeszcze inny myk. W skrzynkach pocztowych można było znaleźć specjalne karteczki. Są one rozsyłane w celu złożenia deklaracji przyjęcia księdza pukającego do właściwych drzwi. Stoi więc na nich jak byk: „Zapraszam księdza z parafii na wizytę duszpasterską". Niżej trzeba tylko wpisać imię, nazwisko, adres oraz telefon, a następnie odnieść kartkę do kościoła, by po jakimś czasie cieszyć się wizytą mężczyzny w sutannie i dziwnym kapelusiku.

Duszpasterstwo nieustające

Księża z Władysławowa do kolędy podchodzą konserwatywnie. „Czynimy to, jak Kościół każe, w duchu troski o budowanie wspólnoty wiernych i świadomi ciążącego na nas obowiązku apostolskiego. Wizyta duszpasterska jest aktem publicznego wyznania wiary, a zarazem znakiem jedności więzi Kościoła domowego z kościołem parafialnym. W naszej ojczyźnie jest to wielowiekowa tradycja" – piszą w sieci i nie robią zapisów. Tyle że nie mają racji. Prawo kanoniczne nie nakazuje księżom kolędowania po świętach. Zgodnie z nim ksiądz ma obowiązek poznawać i odwiedzać rodziny należące do wspólnoty parafialnej.

Kanon 529 § 1 mówi: „Pragnąc dobrze wypełnić funkcję pasterza, proboszcz powinien starać się poznać wiernych powierzonych jego pieczy. Winien zatem nawiedzać rodziny, uczestnicząc w troskach wiernych, zwłaszcza niepokojach i smutku, oraz umacniając ich w Panu, jak również – jeśli w czymś niedomagają – roztropnie ich korygując". Żadnych dat tu nie ma. W Polsce przyjęło się jednak w ostatnich stuleciach, że ksiądz nawiedza wiernych pomiędzy Bożym Narodzeniem a świętem Ofiarowania Pańskiego, które przypada 2 lutego.

Jedynym, co zmusza Kościół do zmiany metod, od zawsze był brak kasy. Po ośmiu latach rządów PiS chyba nie powinno jej duchownym brakować. A jednak…

Kolęda jest sporym zastrzykiem finansowym dla parafii. Jeśli wierzyć ubiegłorocznym szacunkom, księży wpuściło do swoich domów 57 proc. Polaków. Średnia kwota w kopercie wyniosła 70 zł. Tak przynajmniej zaraportowali kościelni ekonomowie. Kościelne zasady rachunkowości zakładają bowiem, że

parafiom z kolędy ma zostać 20 proc. zebranej kwoty. Ponieważ jednak żaden ksiądz nie wystawia pokwitowania, to prawdziwe dane są przez proboszczów strzeżone bardziej niż tajemnica spowiedzi.

Wbrew temu, co duchowni opowiadają w mediach, strzyżenie owieczek po kolędzie ma sens. I to zawsze i wszędzie. Szczególnie wtedy, gdy dzięki zapisom ksiądz wie, że idzie po kasę.

To dlatego parafia w Pruszkowie informuje: „Wizyta duszpasterska, zwana »Kolędą«, rozpocznie się 4 grudnia 2023 roku i potrwa do 13 lutego 2024 roku. Kapłani odwiedzą tylko te osoby, które:

1. zarejestrowały się na wizytę duszpasterską, podając numer telefonu i/lub adres mailowy;
2. zgłoszą chęć przyjęcia księdza po kolędzie do 12 listopada 2023 roku poprzez przygotowaną aplikację w zakrystii lub kancelarii".

4 grudnia to trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Koloratkowym z Pruszkowa śpieszno widać do kaski. 13 lutego to z kolei ponad 10 dni po standardowym dla Kościoła zakończeniu kolędy. Jednak nie są rekordzistami. Parafia bł. Doroty z Mątew w Gdańsku rusza z kolędą już 1 grudnia. „27 listopada 2023 r. rozpoczniemy Wizytę Duszpasterską zwaną Kolędą" – przebiła ich parafia z warszawskiej Woli.

Całe to towarzystwo przelicytowali jednak księża z Józefowa. Rozpoczęli kolędę jeszcze przed adwentem. Do drzwi parafian zapukali już 20 listopada.

A na dodatek niczego od owieczek prócz kopert nie chcieli. W przeciwieństwie do koloratkowych z Baranowic, dzielnicy Zor. Ci bowiem nigdzie nie będą łazić, jeśli wierni nie podstawią samochodu „na 15 minut przed rozpoczęciem kolędy".

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Odniesienie do **Boga,** do Absolutu, do tego, co jest ponad, jest **elementarną** i niezbędną **właściwością człowieka.** Jest **niezbędnym** warunkiem jego **szczęścia.** Natomiast jakikolwiek inny kult, także **kult ciała,** ostatecznie **będzie prowadził do rozpaczy i** (co by nie mówić) – **śmierci.***

dr hab. Krzysztof Pilarz, Radio Maryja, 25 listopada

■ *Celem procedury **in vitro** jest doprowadzenie do urodzenia dziecka, ale para nadal pozostaje bezpłodna. Co więcej, ta **bezpłodność jest dalej przenoszona na dzieci,** bo wiadomo, że w ramach tej procedury nie leczy się chorób, które przyczyniają się do niepłodności, tylko jest to przenoszone na kolejne pokolenia. To jest też kolejny argument za odrzuceniem tej procedury […] – in vitro **potęguje** nie tylko **ryzyko niepłodności w młodym pokoleniu,** w społeczeństwie, **ale ryzyko przenoszenia chorób na dzieci.***

redaktor „Naszego Dziennika" Urszula Wróbel, Radio Maryja, 27 listopada

■ *Wielu **katolików** jest nie tylko śpiących, naiwnych i **zmanipulowanych;** nie brakuje bowiem takich, także wśród **duchownych,** którzy z powodu **osobistych tendencji seksualnych** otwarcie lub skrycie przyjmują **ideologię LGBT+.***

o. Dariusz Kowalczyk, Opoka.org.pl

■ *Europa **zdezynfekowana z chrześcijaństwa** staje się podatnym gruntem do wprowadzenia nowoczesnej **marksistowskiej kultury,** która ma stanowić podłoże dla systemu **komunistycznego.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, TV Trwam, 25 listopada

■ *Plany likwidacji **Funduszu Kościelnego** to atak łamiący zasady **praworządności,** ale także działanie populistyczne, na pokaz radykalnej lewicy, by rzucić im po wyborach jakieś **mięso,** by ucieszono się, jak to dołożyliśmy najpierw PiS-owi, a teraz **Kościołowi.** To jest hasło **antyklerykalne,** które miało zadowalać radykalny elektorat, dlatego pojawiło się na Lewicy, w Platformie czy u Hołowni.*

prof. Mieczysław Ryba, Radio Maryja, 23 listopada

■ *To nie są jakieś **niesamowite wydatki** w skali państwa. […] Warto zobaczyć, jak **potężną** rolę Kościół odgrywa, stabilizując życie społeczne na różnych poziomach – **moralnym,** duchowym, charytatywnym. To jest także kwestia utrzymywania dzieł sztuki, którymi wszyscy się zachwycamy.*

dalej Ryba

■ ***Pomysł zastąpienia ministra ed. PiS,** który broni życia ludzkiego, na promotorkę mordowania nienarodzonych KO jest wdrożeniem planu na **zbiorowe samobójstwo.** Nie rozum, tylko seks bez odpowiedzialności, **śmierć w zasięgu ręki dla każdego.** Segregacja, śmierć dla niechcianych chorych.*

Barbara Nowak, X (dawniej Twitter)

Wybrał **KLECHA**

eprasa.pl 636a773d5d

Diabłolodzy w ofensywie

Szatan żyje i ma się dobrze.

Choćby ze względu na szatańską cenę naszego tygodnika zobligowani jesteśmy do zdawania raportów z frontu walki z Belzebubem. Tym bardziej że jesteśmy posądzani o osobiste i bezpośrednie kontakty z największym wrogiem Jahwe, a przynajmniej mniej lub bardziej świadome wysługiwanie się mu (w dodatku nie za darmo). Na korzystne warunki cyrografu wciąż jeszcze czekamy. Ani w Boga, ani w szatana nie wierzymy, jednak z fascynacją – a czasem niepokojem – obserwujemy, jak wykorzystuje się ich do załatwiania całkiem przyziemnych interesów i potrzeb.

Egzorcyści to specyficzna podgrupa w specyficznej grupie, jaką jest kler rzymskokatolicki. Bardziej wierzą w szatana niż w Boga, zdecydowanie więcej mówią o grzechu, potępieniu i piekle niż o miłosierdziu i niebie, budzą postrach nawet wśród kolegów i przełożonych. Niezdrowa fascynacja siłami ciemności nie pozostaje zapewne bez wpływu na ich własną kondycję psychiczną i moralną, bo – jak pisał Nietzsche – „ten, który z demonami walczy, winien uważać, by samemu nie stać się jednym z nich. Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”.

Podręcznik dla wypędzaczy

Kombatanci walki z biesami dwa razy w roku spotykają się na ogólnopolskim sabacie, by wymienić się doświadczeniami, porównać wyniki, opracować nowe taktyki i strategie. Materia jest delikatna, egzorcyzmy lubią ciszę. Próżno szukać nagrań czy stenogramów tych niewątpliwie fascynujących spotkań. Nie dziwota – szatan mógłby sobie odsłuchać i przygotować się do walki o duszę ludzką. Bo wejścia na takie spotkanie diabeł raczej nie ma. Tylu (czyli ok. 70) egzorcystów w jednym miejscu na pewno umie stworzyć odpowiednią barierę ochronną przed demonami i ich szpiegami. Nagromadzenie wody święconej, soli egzorcyzmowanej i krucyfiksów na metr kwadratowy przyprawi o mdłości nawet nienawykłego katolika, a co dopiero diabelskie pomioty. Dyskrecja to podstawa egzorcyzmów. Dlatego nie pozwalają oni całego procederu nagrywać, a i świadków dobierają z całą ostrożnością. Złośliwi twierdzą, że chodzi o to, żeby można było potem snuć niestworzone historie o nadludzkiej sile opętanych, mówieniu w nieznanych im wcześniej językach, pluciu gwoździami czy nadzwyczajnych właściwościach bielizny JP2, ale powszechnie wiadomo, że ironia jest narzędziem szatana.

O tym, że opętania to sprawy dla Kościoła kat. niezmiennie aktualne, świadczyć może fakt, że zaledwie w sierpniu wydano po polsku „Wskazania dla posługi egzorcyzmu w świetle aktualnego rytuału” – podręcznik dla wypędzaczy demonów przygotowany przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów. To elitarne gremium powołał do życia w latach 90. ubiegłego wieku najsłynniejszy bodaj i najpłodniejszy egzorcysta, nieżyjący od 2016 r. Gabriele Amorth. Najpłodniejszy, bo w ciągu swojej wieloletniej kariery przeprowadził ponoć 70 tys. egzorcyzmów, posyłając do diabła ok. 160 tys. demonów. Dodatkowo codziennie rozmawiał z diabłem po łacinie, a w międzyczasie napisał kilkadziesiąt książek. Kto się może pochwalić równie imponującym wynikiem, niech się zgłosi do Watykanu albo najbliższego psychiatry. Aktualnie triumfy święci na platformie streamingowej film „Egzorcysta papieża”, w którym w rolę Amortha wcielił się Russell Crowe, znany wcześniej choćby z „Gladiatora”. Ale co tam rzymski gladiator przy wojowniku samego Pana Boga, który po kilka demonów dziennie wypędzał. Amorth nawet w kręgach kościelnych uchodzi za bajarza i fantastę, ale ze względu na jego popularność i wiążącą się z tym przydatność nie jest zbyt intensywnie dyskredytowany przez główny nurt hierarchii i kleru.

Wiedza kosztuje

Wspomniany podręcznik dla egzorcystów wydało po polsku Wydawnictwo Papieskiego Wydziału Teologicznego. Żeby go zdobyć, trzeba wyrzygać 105 zł. Wiedza kosztuje, szczególnie taka. Na 367 stronach można zapoznać się z całą zgromadzoną dotychczas wiedzą nt. opętań i metod ich zwalczania. Każdy może sobie tę książkę kupić, ale nie każdy będzie mógł i umiał z niej skorzystać. Mamroczący zaklęcia profan nie będzie miał takich wyników jak egzorcysta z uprawnieniami. I choćby przyszło tysiąc statystów i każdy wygląd miał egzorcystów, i każdy nie wiem jak się wytężał, to nie wypędzą – to nie są księża.

W listopadzie polscy egzorcyści spotkali się po raz drugi w roku Pańskim 2023, tym razem w Gnieźnie. Jesienna aura sprzyja opowieściom o duchach, w końcu listopad to Zaduszki, dziady itd. No i Gniezno – umowne miejsce tzw. chrztu Polski, momentu wygnania precz szatana i pogańskich bożków z przyszłego przedmurza chrześcijaństwa i aktualnego podnóżka Watykanu. Symbolika się zgadza, a symbolika to przecież jeden z najważniejszych aspektów wypędzania złych duchów. Swoją drogą, jak odwrócić dziewiątkę w roku chrztu Polski, to wyjdzie 666. Przypadek? Szatan od zawsze interesował się Polską i ma tu swoją potężną ekspozyturę.

Prymas grozi palcem

Na spotkaniu polskich speców od Lucyfera pojawili się – co nie jest standardem – prymas Polski abepe Wojciech Polak i dwóch innych biskupów. Ewidentnie hierarchia zaczęła interesować się tematem, bo

dotychczas wśród egzorcystów panowała praktycznie samowolka i nikt nad nimi nie miał pełnej kontroli. A brak kontroli równa się nadużycia. Ofiary egzorcyzmów to będzie najprawdopodobniej kolejny problem polskiego Kościoła kat. po ofiarach księży pedofilów.

Zdarza się zresztą, że nadużycia w sferze psychicznej uskuteczniane przez egzorcystów łączą się z molestowaniem. Problem będzie więc podwójny, a świadomość społeczna rośnie i już pojawiają się oskarżenia.

We wstępie do współczesnego „Młota na czarownice” kard. Angelo De Donatis, wikariusz papieski dla diecezji rzymskiej, napisał: „Posługa egzorcysty jest szczególnie delikatna. Narażona na wiele niebezpieczeństw, wymaga szczególnej roztropności, będącej owocem nie tylko prawych intencji i dobrej woli, ale także odpowiedniego, specyficznego przygotowania, które egzorcysta jest zobowiązany otrzymać, aby odpowiednio sprawować swój urząd. Kościół zaleca przede wszystkim, aby przed decyzją o przeprowadzeniu egzorcyzmu uciec się do starannego rozeznania. To wymaga od egzorcystów dobrej znajomości zasad i metod, za pomocą których można je przeprowadzić”. Tyle pobożnej teorii. W praktyce rzekomo opętani padają ofiarami sadyzmu, przemocy fizycznej i psychicznej, a traumy po rytuałach leczone są potem latami. Egzorcyści ignorują osiągnięcia nauki na rzecz fantastyki Amortha i atmosfery z horrorów.

Nie dziwi więc obecność na spędzie polskich egzorcystów abepe Polaka. Prymas z kolegami przyszli do diabłologów pogrozić trochę palcem, żeby nie przesadzali, bo będzie przypał. Jeszcze nie wypłacili się za nadużycia seksualne, a na horyzoncie czekają już kolejni oskarżyciele. Przed sądem ludzkim może nie wystarczyć tłumaczenie, że „szatan” to z hebrajskiego „oskarżyciel”. Przyjdzie raczej do tego, że w życie wejdą słowa kaznodziei Domu Papieskiego, że „nowym wcieleniem szatana jest pieniądz”. Trzeba będzie tego szatana z kas kurialnych przepędzić na konta ofiar. I takie egzorcyzmy to my rozumiemy.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rys. JANUARY

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ W sobotę 25 listopada w kościele Franciszkanów w Sanoku (woj. podkarpackie) nieznany mężczyzna z piwem w ręku wszedł na ołtarz i zaczął wygłaszać kazanie. Całość zarejestrowała lokalna telewizja kablowa, film opublikowano w internecie. Na materiale widać młodego mężczyznę w koszulce firmy Prosto, który składa ręce do modlitwy, opiera się o mensę ołtarzową, podczas gdy cały czas ma przed sobą butelkę złocistego trunku z krajowego browaru. Po zakończeniu modłów mężczyzna opuścił świątynię. Niestety wideo nie ma dźwięku, ponieważ do zdarzenia doszło w przerwie pomiędzy nabożeństwami, kiedy mikrofon był wyłączony. Patrząc na popularność viralowego filmiku, Kościół powinien rozważyć współpracę z browarem celem spopularyzowania mszy.

✚ Strona internetowa Aligion.app, za której pośrednictwem można zamówić mszę, przekazać darowiznę lub zapalić świecę w kilku z warszawskich kościołów, okazała się oszustwem. Proceder zaczęli nagłaśniać proboszczowie stołecznych parafii, zalecając ostrożność. My zalecamy, żeby za zaskórniaki kupić sobie coś ładnego zamiast wpłacać na kościelne zabobony.

✚ Na liście ogłoszeń portalu Otodom.pl znalazł się zabytkowy kościół św. Michała Archanioła w dolnośląskim Okrzeszynie. Obecny zarządca wystawił go na sprzedaż za 800 tys. zł. Kwota do negocjacji. Według ogłoszeniodawcy idealnie spełni funkcję sali bankietowej, weselnej lub konferencyjnej. Zdaniem portalu budynek ma świetną akustykę, w związku z czym można tam organizować wydarzenia muzyczne. Pal licho Okrzeszyn. Koncert zespołu Rammstein w sanktuarium Matki Bożej Licheńskiej to byłoby coś!

✚ W nocy z soboty na niedzielę 26 listopada w Postoliskach w diecezji warszawsko-praskiej sprofanowano kapliczkę z Matką Boską. Nieznani sprawcy przywłaszczyli sobie korpus Najświętszej Panienki, pozostawiając tylko podstawę figury. W ocenie ks. Waldemara Sierpińskiego, proboszcza parafii św. Stanisława w Postoliskach, to efekt lansowania przez media „w określonym stylu” modelu bezstresowego wychowania. Przysięgamy, że my takich bezeceństw nie lansujemy.

✚ Władze sanktuarium Matki Bożej Różańcowej w Fatimie opublikowały podsumowanie sezonu pielgrzymkowego od 1 maja do 10 października 2023 r. W okresie tym wśród cudzoziemców dominowali Hiszpanie, których dotarło tam blisko 30 tys., a także Włosi – 27,7 tys. Kolejne miejsca zajęli Amerykanie oraz Francuzi, odpowiednio 15,5 tys. oraz 15,1 tys. Polacy wypadli w zestawieniu niezwykle słabo jak na zagorzałych katolików – wierzących z kraju nad Wisłą doliczono się jedynie 13 tys. Matko Boska Częstochowska, co za wstyd!

KLECHA

eprasa.pl 636a773d5d

Rząd, nierząd, samorząd

Wojna o władzę na dole.

Czekają nas nowe wybory. Zdecydowanie ważniejsze niż parlamentarne, choć w potocznym poglądzie niższe rangą, bo powiatowe i gminne. Przymiotniki te zawsze kojarzą się z czymś pośledniem i pozagatunkowym. Zniżmy się zatem na wyżyny podstawowej organizacji życia społeczno-politycznego w Polsce, jaką są samorządy terytorialne, aby oszacować ich kondycję i potencjał do samostanowienia.

Co burmistrz może?

Przeciętny obywatel, co paradoksalne, wie, jak nazywają się premier i prezydent RP, którzy mają znikomy wpływ na jego życie, natomiast nie zna króla urzędu miejskiego. A od niego przecież zależy, czy nie połamie nóg na chodniku, czy woda w kranie nie będzie skażona paciorkowcem kałowym, czy nie oddycha powietrzem przesyconym cyjanowodorem, a nawet czy nie pogrąży się we własnych śmieciach i nie utonie w odchodach.

Jeżeli w przedszkolu zatrudnią pedofila, sadystę od zajęć praktyczno-technicznych w szkole podstawowej, a w szpitalu lekarza podającego terapeutycznie pavulon, może to wskazywać, że w mieście wybrano na burmistrza psychopatę. Udomowienie bezdomnych, którym też można się przecież stać, również zależy od prezydenta miasta.

Kompetencje terytorialnego władcy nie są jednak katalogiem zamkniętym. Domniemuje się, że może się on zajmować wszystkim, czym nie zajmuje się rząd centralny. Wprowadzić podatek od posiadania kangura, a nawet uniemożliwić picie wódki.

Nie bójta się wójta

Paradoksalnie jednak, mimo takich przeogromnych możliwości wpływających bezpośrednio na życie obywatela, władze państwa mogą się dla niego stać większym oprawcą. Głównie dlatego, że do rad samorządowych wybiera się ludzi powszechnie, a niekiedy osobiście znanych wspólnocie lokalnej z poczytalności, rozsądku i kompetencji. Stawiając krzyżyk na kandydacie do parlamentu natomiast, tak naprawdę zna się go z plakatu wyborczego, trzech wypowiedzi w telewizji i posiadanej legitymacji partyjnej. Odpowiedzialność ministra jest w gruncie rzeczy żadna, ale burmistrz bęcwał ryzykuje, że powybijają mu szyby!

Centralizacja zarządzania stygmatyzuje państwa totalitarne (w komunizmie rola gmin i powiatów była marginalna). Rozszerzenie zakresu władztwa rządów municypalnych czyni ludzi obywatelami, rozszerza praktyczne osobiste wolności i skłania jednostki ludzkie do umiarkowania.

Rząd wspólnoty mieszkanek i mieszkańców jest na ogół zaradniejszy, lepiej zorientowany, efektywniejszy ekonomicznie, bardziej liberalny, błyskawicznie kontratakuje nieszczęścia. Jeżeli zapali się dom – oczekiwanie na Państwową Straż Pożarną skończy się na pogorzelisku. Jednostka OSP dotrze w 15 minut.

Sen o potędze

Dziwić zatem może, że od dziewięciu lat trwa wojna między władzami lokalnymi a rządem RP o zakres władzy. Samorządy są kopane w krocze. Kradnie się im portfele i sprowadza do roli ciecia na parkingu.

Jest to bezpośrednia projekcja osobowości małego człowieka z warszawskiego Żoliborza ogarniętego własną gigantomanią, z której zrobił pomysł dla całej Polski i wszystkich Polaków. Zwyczajnie nie cierpi on tych powiatowych kmiotków z towotem za paznokciami, wsiowych bab z niegolonymi pachami w futerkach z nutrii pachnących naftaliną. On się tym brzydzi. Nie ma w jego asyście żadnego prawdziwego wieśniaka, odkąd skończył z Lepperem, a Lepper skończył ze sobą. Terenowość Kaczyński traktuje instrumentalnie. Będą grzeczni, to dostaną wóz dla straży ogniowej, a jak podskoczą, to jego człowiek na stanowisku wojewody da im popalić, że bez tego wozu nie dadzą rady.

Zarazem Kaczyński docenia ważkość głupkowatości wiejskiego elektoratu, co zapewne jest jego istotnym motywem większego nad nim panowania. Chłopa łatwiej zmanipulować niż inżyniera. Nie przez przypadek swoją słynną laudację: „Tak naprawdę to nie ma ludzi na świecie dużo mądrzejszych niż ja" – wygłosił w Oleśnicy. Przyjęto tam to niesamowite uzewnętrznienie – jakby mówił bohater reklamy środka na potencję – brawami. W Trójmieście pomyślano by zapewne, że ta nawałnica autoerotyzmu prezesa to kompensacja utraty miłości kota, który najwyraźniej zadurzył się w kimś innym. Polska nie ma być terytorialna i ludowa. Monarchia oświecona czy nieoświecona wygląda lepiej – imaginuje Jarek.

Niewidzialny front

Forpoczta Kaczyńskiego siedzi w urzędach wojewódzkich (formalnie organach rządu), w których przez ostatnie lata prowadzona jest polityka poparcia własnych i szczypania wrogich samorządów. Wojewoda ma moc oprotestowania (w trybie tak zwanego rozstrzygnięcia nadzorczego) każdej uchwały rady gminy czy miasta (prawa lokalnego), która w jego mniemaniu jest niezgodna z prawem wszechpolskim.

Ostatnio na przykład wojewoda zachodniopomorski Zbigniew Bogucki (PiS) z całą surowością zganił Radę Miejską Gryfina za regulamin korzystania z publicznych kibli. Radni napisali w nim, że za uszkodzenie sedesu i zapchanie rury odpływowej odpowiada korzystający z toalety. Bogucki wytknął, że rada przekroczyła granice upoważnień samorządowych wynikłe z konstytucji. Złamała też inne ograniczenia polegające na przykład na niemożności księgowania podobnych wpływów w samorządowej buchalterii. Można oczywiście wystąpić na drogę odszkodowawczą, ale w trybie procesowym – wyjaśnił wojewoda Bogucki.

Ta kiblowa walka jest rzekomo pokłosiem lokalnego konfliktu wewnątrzpartyjnego. Burmistrz Gryfina był bowiem swego czasu członkiem PiS-u. Ale zdradził. Wydymał swoją partię matkę. Kiedy tylko wygrał dzięki niej wybory, natychmiast z niej wystąpił.

Problem jest nie tylko taki, że owych dyskredytujących miejscowe prawa protestów nadzorczych wojewodów jest o 30 proc. więcej niż ongiś (przed 2014 rokiem). Otóż owe rozstrzygnięcia samorządy zaskarżają do wojewódzkich sądów administracyjnych, które orzekają, czy wojewodowie mieli rację, czy nie. Odsetek błędnych stanowisk wojewodów wzrósł z 28 do ponad 50 proc. Co druga postponująca uchwałę rady decyzja wojewody była zdaniem sądownictwa administracyjnego błędna. To już nie świadczy o zwykłych pomyłkach, a raczej o czynnikach pozamerytorycznych.

Jak rząd z samorządem

Sądy sądami, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie, znaczy po stronie rządowej. Stąd wniosek, że po prostu sędziowie w sądach administracyjnych są źli. Faktycznie owych sędziów powołuje Krajowa Rada Sądownictwa (formalnie powołuje prezydent, ale z rekomendacji KRS, której się nie sprzeciwia). Zatem aby sędziowie byli w sądach administracyjnych dobrzy, w KRS muszą zasiadać właściwi, czyli nasi, ludzie. PiS zatem od lat toczy wojny o władzę w KRS, aby zasiadali tam prawnicy słuszni ideowo.

Ponieważ wojewodowie w trybie nadzorczym podejmują niezgodne z prawem decyzje, nie można logicznie wykluczyć, że to oni jednak mają rację, a prawo po prostu jest złe. O prawie jednostek samorządowych decyduje parlament, ale zanim ustawa tam trafi, muszą nastąpić konsultacje społeczne na forum Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego, zakończone głosowaniem członków wartościujących projekt nowej ustawy.

W komisji zasiadają przedstawiciele sześciu ogólnopolskich organizacji samorządu. Pośród nich są ci, którzy rozumieją doniosłość prawodawczą PiS-u, i ci, którzy jej nie pojmują. Podpisaną w sierpniu nowelizacją ustawy o KWRiST Duda wypierdolił z komisji przedstawicieli samorządowców niesłusznych, aby w ich miejsce dokooptować pisosekretną organizację samorządów właściwych, które poprawią prawo tak, aby wojewodowie nie chcieli się mylić.

Przemoc pieniądza

Władza, od kiedy nie używa miecza i stryczka, posługuje się subtelniejszym instrumentem, jakim są pieniądze. Łatwiej się rządzi, mając ich więcej niż mniej. Dochody samorządów pochodzą zasadniczo z dwóch źródeł. W stosunku pół na pół.

Pierwsza połówka z podatków i opłat lokalnych (podatek od nieruchomości, rolny, od środków transportu, podatek leśny, podatek od psa, taksa klimatyczna). Druga połówka to dotacja rządu uzależniona od wysokości wpływów z podatków osobistych (PIT) mieszkańców danej gminy. Im więcej podatku płacą, tym więcej dostaje ich magistrat.

Rząd swoim wielkim, za to pozornym dobrodziejstwem podniósł kwotę wolną od podatku do 30 tys. zł rocznie i zwolnienie z tego podatku osób przed 26. rokiem życia. Szacunkowo wychodzi, że samorządy straciły w tym roku jakieś 50 mld zł. Ponieważ rząd Morawieckiego stoi na stanowisku, że obiecać to tak jakby się wywiązać, obiecane rekompensaty mające w niewielkiej części pokryć dziurę w budżetach samorządowych nie dochodzą.

Instrumentem dyscyplinowania wójtów, prezydentów i burmistrzów są rządowe fundusze celowe pompujące w samorządy ok. 200 mld zł rocznie, bez nadzoru parlamentu i według własnego uznania. Pospolita krzywda, jakiej doznają samorządowcy, obraca się wokół braku odpowiedzi na pytanie: „Tamci dostali na to samo, na co my nie dostaliśmy w ogóle. Dlaczego?".

Dochody budżetu państwa od 2015 r. wzrosły z 289 do 604 mld zł, czyli ponad dwa razy, podczas gdy dochody Warszawy z 14,3 do 20,2 mld zł, to jest o 40 proc. Warszawa otrzymuje najmniej wsparcia rządowego spośród wszystkich miast na prawach powiatu – biadolił ostatnio prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, udając zarazem, że nie rozumie przyczyn tego stanu rzeczy.

Samorządy się więc zadłużają, wpadając w łapy państwowych banków. Według różnych szacunków zadłużenie samorządów sięga już 50 proc. Kłopot w tym, że rząd, zadłużając się we własnych bankach, może sobie to zadłużenie umorzyć, natomiast samorząd już nie.

Zamach stanu

Pod butem PiS-u samorządy przestały decydować, kto ma być dyrektorem szkoły i szpitala. Lukratywne stanowiska kierownicze zarezerwowane są dla nauczycieli i lekarzy należących do słusznego ugrupowania.

Wyraźny proces ograniczania autonomii lokalnej uczeni w prawie nazywają decentralizacyjnym przewrotem politycznym.

Owa faktografia ma o tyle związek z wyborami samorządowymi na wiosnę przyszłego roku, że

świadomy wyborca ma dylemat. Albo zagłosuje za pieniędzmi, czyli na lokalne struktury PiS-u, z czego radość będzie natychmiastowa, albo za terytorialną decentralizacją, co może dać korzyści odłożone w czasie, czyli potencjalne, znaczy ryzykowne.

Takiego parszywego dylematu nie będzie, jeżeli rząd centralny stworzy ktoś inny niż Mateusz Morawiecki.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Polskie psy i koty są bezczelnie nabijane w butelki – stwierdziła Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych. Przez producentów i sprzedawców żywności. W 80 proc. przypadków stwierdzono nieprawidłowości. Kotom wmawia się, że kurczak jest wołem, a psy są wprowadzone w błąd co do wilgotności spożywanej karmy. Co więcej, karma, która nadaje się dla kotów, sprzedawana jest z opisem, jakby była dla psów, i odwrotnie. Wiarołomność wobec naszych braci mniejszych jest gorsza niż zdrada małżeńska i może spowodować rany gryzione oraz pazurzone.

▮ Policjanci z Zielonej Góry otrzymali zapis z kamer monitoringu miejscowego ronda, z którego wynika, że umiejętności driftowania 19-letniego kierowcy są niewystarczające. Ukarany został mandatem 3 tys. zł, który policja przyniosła mu do domu. Z informacji policji nie wynika, czy mandat był za sam fakt driftowania, czy może bardziej za wywołane przez nie opłakane wrażenie artystyczne.

▮ W przedszkolu w Lisowie w gminie Morawica w powiecie kieleckim policja stwierdziła, że dwie przedszkolanki są w sztok pijane. Stan trzeźwości prezentował się był następująco: 1,2 promila alkoholu u młodszej (24 lata) i 3,8 promila u starszej (37 lat). Dzieci mogły być również nietrzeźwe, ale tego nie sprawdzano, bo ich wymóg przedszkolnej trzeźwości nie dotyczy. Kto podpierdolił, pozostaje sprawą otwartą.

▮ W Katowicach mieli trzęsienie ziemi. Rzecznik Polskiej Grupy Górniczej Tomasz Głogowski poinformował, że wstrząs miał energię pięć razy 10 do potęgi szóstej dżula, co przekłada się na magnitudę 2,58. Nic nam to nie mówi, ale zdaniem rzecznika nikt nie zginął. Z tego wnosimy, że wstrząs był łagodny.

▮ W Tomaszowie Mazowieckim za 12 mln zł mają wybudować nowe schronisko dla zwierząt. 8 mln daje budżet centralny, 4 mln dokłada samorząd. Dzięki tej inicjatywie z bezdomności ma być wydobytych 150 psów i 50 kotów. Wychodzi na to, że buda dla psa musi kosztować 60 tys. zł. Metr kwadratowy wychodzi drożej niż w mieszkaniach w stanie deweloperskim.

▮ Międzynarodówka deweloperska jest bardzo wdzięczna partii pisanej przez trzy litery za program „Bezpieczny kredyt 2 proc." adresowany do niezamożnych młodych Polaków, który teoretycznie ma im pomóc w nabyciu pierwszego mieszkania. Dzięki programowi zyski budownictwa mieszkaniowego są najwyższe od dekady. Uśrednione marże od sprzedaży mieszkań wzrosły do

eprasa.pl 636a773d5d

Królestwo pustostanów

W Polsce brakuje mieszkań, choć jest ich o dwa miliony więcej niż gospodarstw domowych.

20 lat temu w Polsce brakowało miliona mieszkań. 10 lat temu też brakowało miliona mieszkań. Przez te 10 lat wybudowano ich dwa miliony. Dzięki niechęci Polaków do rozmnażania się oraz przyśpieszonemu wymieraniu jest nas o kilkaset tysięcy mniej niż dekadę temu. Wiedząc to wszystko, zgadnijcie, ilu mieszkań – według ekspertów – brakuje dziś w naszym kraju? Jeśli ktoś pomyślał, że dwóch milionów, to dobrze pomyślał.

Niewygódki

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań w 2021 r. pokazał, że nasz 37-milionowy kraj zabudowany jest 15 mln 340 tys. lokali mieszkalnych. Byłoby nawet fajnie, gdyby nie to, że ponad 800 tys. z nich nie miało łazienki i kibla. Ba, do 445 tys. nie docierała bieżąca woda.

Poprzedni spis pochodzi z 2011 r. Dzięki temu wiemy, że przez dekadę mieszkań bez toalety i łazienki ubyło ledwie 100 tys., a tych bez nawet zimnej wody jest dziś ledwie 35 tys. mniej. Jeśli jednak ktoś sądzi, że to dlatego, że ludzie zamieszkujący takie lokale podciągnęli sobie infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, to jest w błędzie. Większość bowiem z tych 100 tys. niecywilizowanych chałup i mieszkań bez sedesu i 35 tys. bez wody po prostu trafił szlag i rozpadły się w proch i pył. Ze starości.

GUS podaje, że mieszkania bez łazienki i toalety zamieszkuje 2,1 mln Polaków, a te bez wody – około 900 tys. Co można myśleć o ludziach, którzy mając doprowadzoną do domu wodę, nie potrafią dzięki kilku plastikowym rurom i sedesowi zrobić sobie kibelka i czegoś na kształt prysznica? Otóż że na takie luksusy mają wywalone. Co jednak sądzić o państwie, które ma miliony obywateli biegających za stodołę i myjących się od czasu do czasu? I to po ośmiu latach opowieści, jak to władza robiła dobrze tym dotychczas przez państwo zaniedbanym?

Bo prawda jest taka, że zdecydowana większość mieszkań i chałup urągających standardom cywilizacji w trzeciej dekadzie XXI w. stoi na wschód od Wisły. Znaczy w rejonie miłym PiS, i to z wzajemnością.

Z kupą na dwór

Tyle że to niecała prawda. W stolicy, mieście zarządzanym przez umiłowanego przez TVN Rafała Trzaskowskiego, w podległych prezydentowi mieszkaniowych zasobach komunalnych ponad 200 mieszkań nie ma kibla ani wody. Fakt, że to jakiś promil stołecznych lokali komunalnych, ale tym bardziej mieszkania te powinny być zaopatrzone w minimum cywilizacyjne, bo to dla budżetu Warszawy żadna kwota. Natomiast wynajmowanie ludziom przez stolicę mieszkań rodem z XIX w. to więcej niż obciach.

Prezydent Jacek Sutryk z Wrocławia też nie ma się czym chwalić. Toalet w mieszkaniach nie ma w aż 865 kamienicach z udziałem gminy w całym mieście. Z danych GUS wynika, że robić kupę poza mieszkaniem musi 10 proc. mieszkańców Wrocławia. 4 tys. mieszkań komunalnych i socjalnych nie ma łazienek, ale kasę na dyrdymały budżetów obywatelskich, szmal na promowanie miasta i miliony na inne nader istotne inwestycje Wrocław wydawał.

Łódzka ziemia obiecana Hanny Zdanowskiej też wygląda ciekawie. Na ponad 39,5 tys. mieszkań w zasobie komunalnym Łodzi 14,3 tys. nie ma toalety, ponad 2,9 tys. bezpośredniego podłączenia do ujęcia wody, a tylko 9,8 tys. ma centralne ogrzewanie. Ale ważniejsze dla miasta jest, aby każda z dzielnic dostała pieniądze na hodowlę dzikich pszczół.

Gdyby dane GUS o bezkiblowych mieszkaniach zamienić na procenty, wyszłoby, że bez toalety jest w Polsce co 20. mieszkanie. Skąd zatem w danych Eurostatu informacja, że na sto nadwiślańskich domostw średnio w dwóch nie ma toalety? W tym unijnym zestawieniu jesteśmy równo na średniej europejskiej, tyle że prawie na samym końcu. A to dlatego, że średnią zaniżają wciąż Rumunia i Bułgaria, a i gulaszowa polityka Orbána powoduje, że w kwestii robienia kupy w domach Madziarzy są daleko za nami, mając dwukrotnie więcej bezkiblowych mieszkań. Zdecydowanie najgorzej jest w Rumunii. Tam prawie 28 proc. gospodarstw domowych nie ma toalety. W drugiej od końca Bułgarii odsetek ten wynosi ponad 15 proc. No i są Łotwa oraz Litwa z wynikiem na poziomie około 10 proc.

Problem z bieganiem z mieszkania za potrzebą nie występuje tylko w czterech krajach: Niemczech, Luksemburgu, Holandii i Szwecji.

Jak nie ma, skoro są?

Gdyby więc patrzeć na Polskę z perspektywy tych krajów, to z puli 15 mln 340 tys. mieszkań należałoby odliczyć te 5 proc., które mieszkaniem – z powodu braku podstawowych jego cech – nie są. Zostałoby nam zatem ponad 14,5 mln pełnowartościowych lokali mieszkalnych.

Jednak jak wynika ze spisu powszechnego, poziom pustostanów w polskim mieszkalnictwie wynosi 12 proc. Szczególnie dużo pustych lokali jest na wschodzie kraju, w tym w miejscowościach przygranicznych. Najwięcej pustych mieszkań występuje natomiast w miejscowościach turystycznych, nadmorskich i górskich. Czy zatem można tu mówić o mieszkaniach, czy może już o apartamentach turystycznych? Ale jak wytłumaczyć znaczny udział niezamieszkanych lokali w warszawskim Śródmieściu, gdzie stanowiły one 29 proc.?

Mamy więc 5 proc. mieszkań, które z racji standardu nie są mieszkaniami, i dziwne 12 proc. tych niezamieszkanych.

Eurostat jednak łyka to wszystko jak pelikan. Ale i tak wychodzi mu, że mając prawie 15,5 mln mieszkań, pod względem przeciętnej liczby pokoi przypadających na jedną osobę (równej w naszym kraju 1,2 pokoju) mamy niemal najgorszy wynik w Europie. Słabiej wyniki wyglądają jedynie w Serbii, Łotwie, Rumunii i Bułgarii. W porównaniu do 2011 r. średnia Polski urosła zaledwie o 0,2, bo wtedy liczba pokoi przypadająca na jedną osobę wynosiła dokładnie 1. Brakuje nam też sporo do średniej europejskiej, która wynosi 1,6. Ale na Malcie na jedną osobę przypada 2,3 pokoju, a w Belgii, Holandii i Irlandii 2,1.

Unijni spece skonstatowali, że ponieważ przeciętne mieszkanie oddawane do użytku w Polsce ma od kilku lat nieco mniej niż cztery izby, to nasz kraj, żeby dogonić Europę w pokojach, potrzebuje blisko dwóch milionów mieszkań.

W 2011 r. wskaźnik liczby mieszkań na 1000 mieszkańców wynosił w Polsce 352,6. Gdy Szydło opowiadała o mieszkaniu plus, to plotła coś o doganianiu średniej unijnej, wynoszącej wtedy ok. 440.

Deweloperzy – bo przecież nie rząd – zrobili swoje i w 2021 r. wskaźnik osiągnął poziom 405,2 mieszkań na 1000 mieszkańców. Tylko co z tego, skoro Europa nam w tym czasie znów odjechała? Teraz średni unijny wskaźnik to 500 mieszkań na 1000 osób. Znaczy jedno mieszkanie na dwie osoby. To zaś zakłada, że mnóstwo tamtejszych chałup to kawalerki, a gospodarstwo domowe to singielka lub singiel. I oczywiście Polska w tym kontekście musi starać się o kolejne miliony mieszkań, bo ma ich ewidentny niedobór.

Przepowiednie dotyczące deficytu mieszkaniowego w Polsce zawsze jednak pomijają pewną dość istotną daną z ostatniego spisu. W 2011 r. mieliśmy ponad 13,5 mln gospodarstw domowych, a w 2021 r. w spisie okazało się, że jest ich 12,5 mln. W ciągu dekady, zamiast przybywać singlowskich klimatów, ubyło w Polsce ponad milion gospodarstw domowych. Jeśli więc od 14,5 mln mających kibel i wodę mieszkań odejmiemy te 12,5 mln gospodarstw domowych, to wyjdzie górka. Wynosząca dokładnie dwa miliony mieszkań, których ponoć nam nieustannie brakuje.

Te dwa miliony mieszkaniowej superaty to dużo więcej, niż potrzebują mieszkający u nas Ukraińcy. To zaś oznaczałoby, że

tzw. wolny rynek, dyktując ceny najmu z kosmosu, robi nas w konia. I kto wie, czy zamiast silić się na kolejne programy mieszkaniowe, na które pójdą krocie, nie lepiej zrobić tego, co w wolnorynkowym Berlinie. Uznać – jak Tusk – że mieszkanie to nie towar, i zmusić właścicieli pustostanów do wynajmowania, i to za określoną przez państwo niewygórowaną stawkę.

Jeśli tego nie zrobimy, ceny nieruchomości wciąż będą ścigały się z kolejnymi wskaźnikami wydumanymi przez magików od wciskania kitu.

TADEUSZ JASIŃSKI

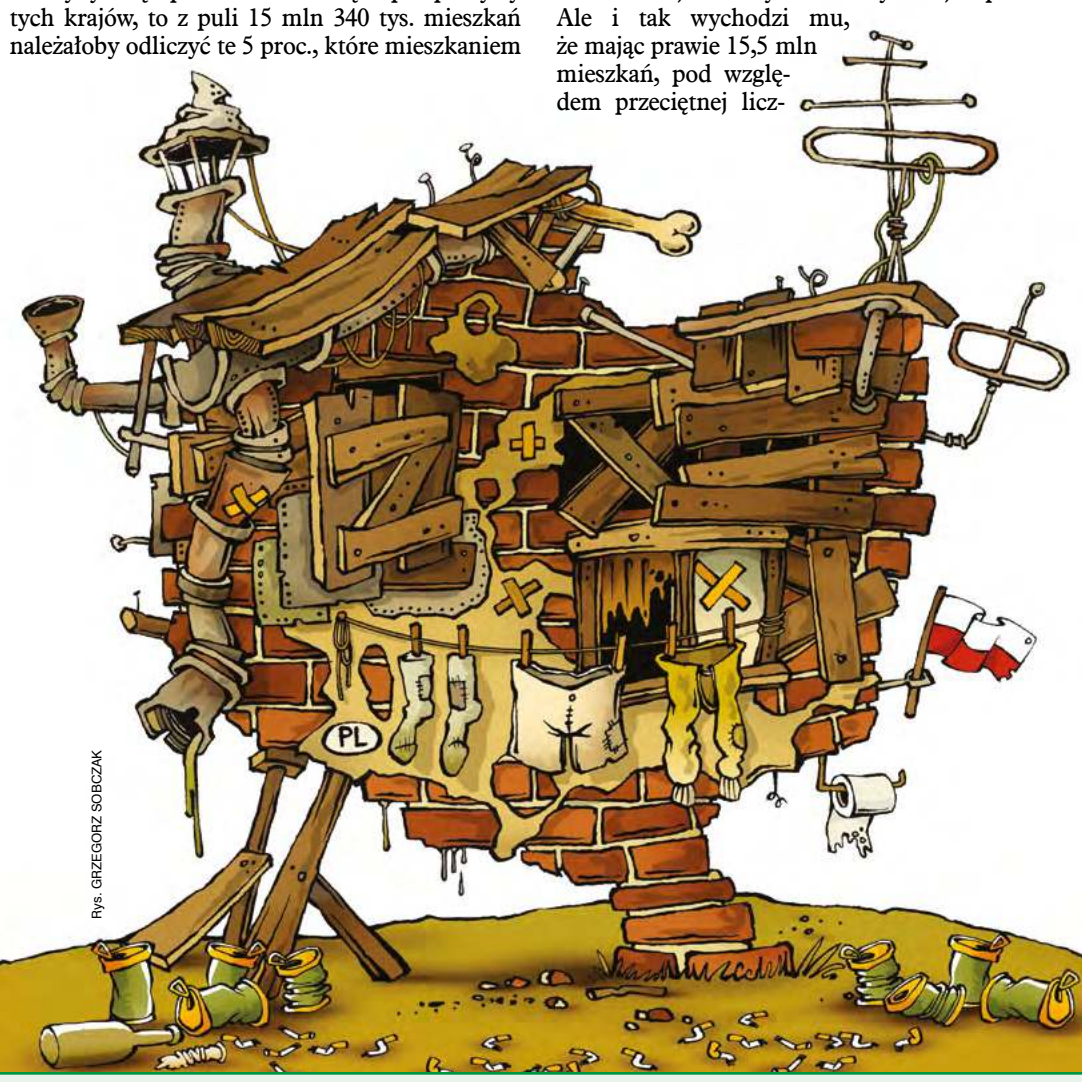

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

ponad 30 proc. wartości mieszkania. Oznacza to dla kredytobiorców, że okres spłaty kredytu wydłuży się z 20 do 30 lat w niegwarantujących ciągłego zatrudnienia warunkach wolnego rynku. W tym okresie okaże się dla większości zapewne, że wzięcie bezpiecznego kredytu było najbardziej niebezpieczną i skrajnie niekorzystną decyzją, jaką powzięli w życiu.

▮ Na ul. Głębokiej w Lublinie kierowca auta oznakowanego naklejkami Bolta stanął w niewielkim korku. Uchylił drzwi. Wyciągnął wiatrówkę. Ostrzelał siedzące na drzewach ptaki. Następnie schował wiatrówkę. Ruszył w dalszą drogę. Z braku lepszych zajęć strzelca poszukuje lubelska policja.

▮ Ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. COVID-19 dr Paweł Grzesiowski twierdzi, że koronawirus szaleje. „W tej chwili dziennie choruje kilkadziesiąt tysięcy, a może nawet koło stu tysięcy Polaków" – dodaje. Bardzo prawdopodobne. Sam znam takich, którzy po iluś tam dawkach szczepionki chorują obecnie po raz siódmy.

▮ Na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu odbywają się zajęcia fakultatywne ze spania pod tytułem „Drzemkologia stosowana" prowadzone przez dr Marię Kmitę. Studenci walili drzwiami i oknami. Nie wszyscy mogli zostać przyjęci. Zajęcia składają się z części teoretycznej i praktycznej, podczas której studenci śpią w śpiworach za drzwiami, na których wisi kartka: „Nie przeszkadzać, tu śpią przyszli lekarze". Zasadniczym celem fakultetu jest „nauka higieny snu". Słusznie. Bardzo użyteczna wiedza. Wiem z autopsji, sypiając niekiedy nawet na stojąco.

▮ Bank Pekao (ten z czerwonym żubrem) podjął działania przeciw chińskiemu producentowi sprzętu do uboju zwierząt o dość długiej nazwie, dlatego podajemy w formie skróconej: Animal Husbandry Machinery Technology, firmie, która ukradła, zdaniem banku, tego jego czerwonego żubra i umieściła we własnym logotypie. Co do faktów bank zapewne ma rację. Co do symboliki to jednak czerwony żubr bardziej kojarzy się z rzeźnickim nożem niż z usługami bankowymi. No, chyba że w przypadku banku Pekao powinno być inaczej. Bank oznajmił, że „podjął działania".

Rys. WIDGET

▮ Jeżeli chodzi o ten okręt ORP „Sokół", za którego transport Muzeum Marynarki Wojennej ze stoczni na oddalony o 9,5 km bulwar Nadmorski w Gdyni zapłaciło 2,4 mln zł, o czym wspominaliśmy w „Wieściach..." w numerze „NIE" 46/2023, operacja zakończyła się sukcesem. Fotorelacje z przeciągania okrętu podwodnego po asfalcie przekonują jednak, że jest on stary, brzydki i pomarszczony, choć odpacykowany czarnym błyszczącym lakierem. Ale ma złotą pięciołopatową śrubę napędową! Dumą Bałtyku to nie jest.

▮ Policjanci z Grudziądza zatrzymali 47-letniego mężczyznę poszukiwanego listem gończym, który zbudował dla siebie podziemną skrytkę w domku ogrodowym. Funkcjonariusze od razu jednak zauważyli źle przycięte i tandetnie ofugowane kafelki, pod którymi znajdowała się rzeczona piwniczka. Facet odstawiony został do paki, a gliniarze po służbie zapewne odnajdują się w glazurnictwie.

▮ Kierowcy zostali tak zaskoczeni atakiem zimy na Podhalu, że aż jeden od tego zdumienia wpadł z autobusem do rowu w rejonie ul. Ustup w samym Zakopanem. Na pozostałym obszarze kraju nadal wiosna. Ciężka jest ta zakopiańska karma.

▮ Jak poinformował burmistrz Zatoru Mariusz Makuch w TVP 3 Kraków, miasto doczekało się własnego hejnału w związku ze swoimi 731. urodzinami. Kompozytorem hejnału jest Janusz Bielecki. Można sobie tego wysłuchać każdego dnia o godz. 12 w centrum miasta. Niejaką konsternację budzi fakt, że rzeczonym hejnałem burmistrz Makuch chwalił się już sześć lat temu, w listopadzie 2017 r., kiedy świętowano 725. urodziny Zatoru.

▮ Matka Czeszka, bo pochodziła z Czech, ukradła dwa opakowania mleka dla dzieci z marketu Biedronka w Jastrzębiu-Zdroju, aby nakarmić swoje dziecko. Złodziejkę starał się zatrzymać pracownik ochrony. Z poświęceniem życia i zdrowia rzucił się na maskę samochodu škoda, jakim przestępczyni chciała zbiec. Przeciągnąwszy delikwenta po asfalcie, samochód się zatrzymał. Policja uważa jednak, że to nie ochroniarz naraził swoje życie kozackim zachowaniem, ale matka, która jechała samochodem. Nielegalna próba nakarmienia dziecka ma ją kosztować trzy lata w więzieniu.

R.J.

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych i portali internetowych chcących uchodzić za miejskie i stołeczne. Nie możemy wziąć odpowiedzialności za ich prawdziwość. Byłoby to zbyt nieodpowiedzialne.

eprasa.pl 636a773d5d

WIARA CZYNI CZUBA

1. John Wilkerson, pastor Pierwszego Kościoła Baptystów i organizator eventu Expo Dowodów Kreacji, wydał następujące przeprosiny: „Z ubolewaniem przyznaję, że prawdopodobnie nie podjąłem najlepszych decyzji w wielu obszarach. Nie udało mi się odpowiednio sprawdzić, co zostanie powiedziane lub pokazane, i myślę, że zraniłem wiele osób. Przepraszam i szczerze proszę o wybaczenie". Cóż takiego uczynił pastor Wilkerson? Pozwolił zabrać głos facetowi, który miał długie włosy. Pastor Allen Domelle wyjaśnił to w piśmie „Żurnal Dawnych Ścieżek": „Długowłosy hipis nauczający z ambony jest w bezpośredniej sprzeczności z Pismem Świętym. Nie wiem nic o tym człowieku, ale wiem, że długie włosy to wstyd. Nie ma znaczenia, czego zamierzał nauczać, fakt, że rażąco nie przestrzega Słowa Bożego, powinien ostrzec każdego"…

2. Katolicki portal informacyjny CNA wylicza cnoty Victorii Villarruel, która 10 grudnia obejmie urząd wiceprezydenta Argentyny. Jest praktykującą katoliczką: „np. w kwietniu życzyła swoim obserwatorom wesołych Świąt Wielkanocnych" i umieściła na Instagramie zdjęcie z 65-kilometrowej pielgrzymki do bazyliki Matki Bożej z Luján. Jest przeciwko aborcji: w wywiadach określa niedawną liberalizację prawa antyaborcyjnego jako „katastrofalną" i zapewnia, że gdyby mogła, toby ją uchyliła. Podczas kampanii „sprzeciwiała się »małżeństwom« osób tej samej płci", mówiąc, iż „początki małżeństwa sięgają wcześniej ustanowionej instytucji, która miała charakter religijny". CNA dyskretnie nie wspomina, że jej szef prezydent Javier Milei nazywa papieża Franciszka „pierdolonym komunistą" i „kupą komunistycznego gówna".

3. Konferencja Episkopatu Peru pogratulowała kongresowi przyjęcia antyaborcyjnej ustawy nr 31935. Dotychczas art. 2 konstytucji mówił o prawie płodu do „wszystkiego, co jest dla niego korzystne" od poczęcia, ale kodeks cywilny rozróżniał płód i osobę ludzką, która była „podmiotem prawa od urodzenia". Teraz znowelizowany kodeks stanowi, iż „życie ludzkie rozpoczyna się od poczęcia". „Ta decyzja legislacyjna wzmacnia nasze zaangażowanie w obronę życia od momentu poczęcia. Dzieci od momentu poczęcia są największym skarbem na świecie, przyszłością ludzkiej rodziny" – cieszy się szef episkopatu arcybiskup Trujillo Miguel Cabrejos. Szacuje się, że każdego roku w Peru przeprowadza się 371,5 tys. nielegalnych aborcji, które odpowiadają za 17,5 proc. śmiertelności okołoporodowej. Kobiecie grożą dwa lata więzienia, a lekarzowi – pięć.

4. Ksiądz Alexander Crow, ekspert w dziedzinie egzorcyzmów oraz teologicznych studiów nad demonami i nauczyciel w katolickim liceum McGill-Toolen w Mobile w Alabamie, został suspendowany po tym, jak udał się do Włoch z nastolatką będącą jego uczennicą i ogłosił, że nigdy nie powróci do USA. Ksiądz i uczennica nawiązali w szkole duchową więź, która rozwinęła się do tego stopnia, że razem spierdolili do Rzymu, ale nie dotrzymali słowa, że tam zostaną: wrócili do USA i wzięli ślub. Biskup archidiecezji Mobile Thomas Rodi uzasadnia suspensę faktem, że Crow „porzucił wyznaczone mu zadania duszpasterskie" i prezentował „zachowanie całkowicie niestosowne dla księdza". Zapewne ma na myśli nieusprawiedliwioną nieobecność i ślub cywilny. Fakt, że 30-letni nauczyciel uwiódł młodszą o 12 lat uczennicę, biskupa mniej obchodzi.

5. Brytyjski zespół rockowy Coldplay wystąpi w Malezji mimo sprzeciwu ze strony konserwatywnych polityków. Występ wspiera premier Anwar Ibrahim, zwracając uwagę na wsparcie, jakie Coldplay okazuje Palestynie, ale rzecznik islamskiej partii PAS Ahmad Fadhli Shaari nie jest przekonany. Powiedział w parlamencie: „Nie chodzi o to, czy oni wspierają sprawę palestyńską, czy nie, ale o kulturę hedonizmu, którą wnoszą do naszej społeczności", a na dowód pokazał zdjęcie wokalisty Chrisa Martina trzymającego tęczową flagę. Po długich debatach udało się dojść do konsensusu: koncert się odbędzie, ale decyzją ministra cyfryzacji Teo Nie Chinga scena zostanie wyposażona w przycisk zwany *kill switch*, którym będzie można odciąć prąd w razie niepożądanego incydentu.

Jak Netflix robi postępy.

Islamofobia koronna

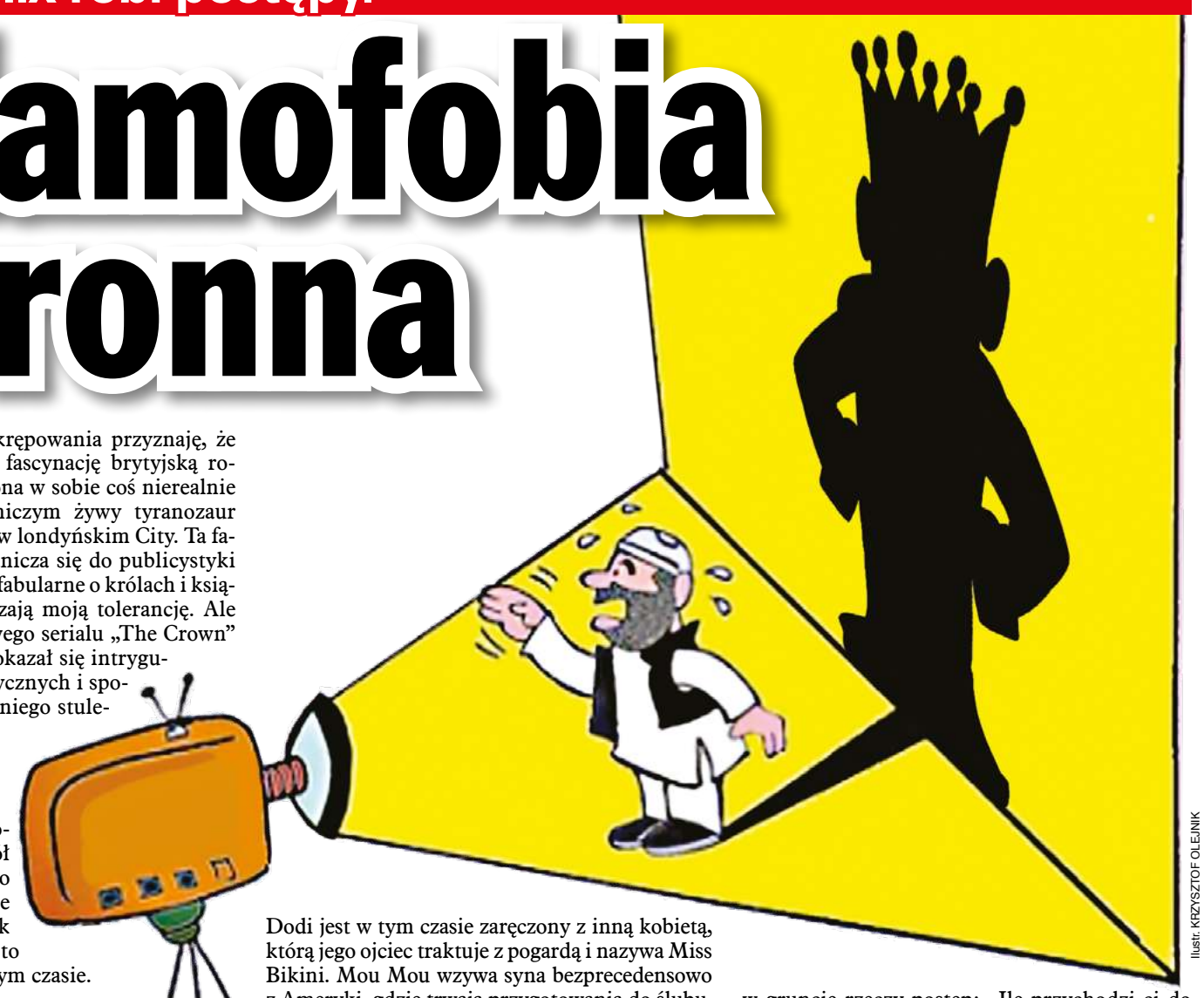

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie bez pewnego skrępowania przyznaję, że odczuwam dziwaczną fascynację brytyjską rodziną królewską. Ma ona w sobie coś nierealnie archaicznego – jest niczym żywy tyranozaur pożerający bankierów w londyńskim City. Ta fascynacja z zasady ogranicza się do publicystyki i dokumentów – filmy fabularne o królach i książętach nieco przekraczają moją tolerancję. Ale dla słynnego netflixowego serialu „The Crown" zrobiłam wyjątek, bo okazał się intrygującym portretem politycznych i społecznych realiów ostatniego stulecia UK. Do czasu.

Piękna Diana

Netflix właśnie pokazał pierwsze pół ostatniego, finałowego sezonu. Sezon w ogóle jest fatalny, na dodatek trudno byłoby zrobić to w bardziej niestosownym czasie.

Kiedy czystka etniczna prowadzona przez Izrael w Gazie budzi pewne zaniepokojenie nawet w Waszyngtonie, ambitna i postępowa platforma streamingowa z dumą prezentuje produkt tak otwarcie islamofobiczny, że musi się spodobać Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Cztery pierwsze odcinki szóstego sezonu poświęcone są w zasadzie wyłącznie Dianie – od rozwodu z Karolem do wypadku w Paryżu. Wizerunek księżnej jest hagiograficzny na modłę prasy kobiecej, a aktorstwo nieco krępujące. Australijska aktorka, córka polskiego baletmistrza o swojsko brzmiącym nazwisku Dembicki, najwyraźniej obejrzała tylko legendarny wywiad dla programu „Panorama" BBC i każdą scenę odgrywa, łypiąc spod grzywki jak księżna Walii opowiadająca, że „było nas troje w tym małżeństwie, więc trochę tłoczno", choć Diana, osoba niezwykle medialna, miała cały szereg innych min i środków wyrazu. Nie to jednak jest główną wadą serialu.

Protagonistką sezonu szóstego jest naturalnie księżna Diana. Ale twórcy serialu w roli antagonisty nie obsadzili księcia Karola czy jego kochanki Camilli ani oziębłej uczuciowo królowej, która nie zareagowała z należytą rozpaczą na śmierć Diany, ani krwiożerczej prasy, która goniła ją po ulicach Paryża. Wcieleniem wszelkiego zła jest egipski miliarder Mohamed Al-Fayed, znany jako Mou Mou, ojciec Dodiego, który zginął z Dianą w wypadku w Paryżu. Aż trudno uwierzyć, że w jednej postaci nienależącej do uniwersum Marvela można zmieścić tyle obrzydlistwa.

Ohydny satyr

Mohamed Al-Fayed, urodzony w Egipcie biznesmen, który w pewnym momencie był właścicielem londyńskiego Harrodsa, paryskiego Ritza i klubu piłkarskiego Fulham, jest okrutny i bezwzględny, ale zarazem żałosny. Cynicznie wykorzystując przyjaźń, jaką obdarza go Diana, zwabia ją na swój jacht w Saint-Tropez i praktycznie wpycha jej do łóżka swojego syna Dodiego – przesłuchując pokojówkę na okoliczność stanu prześcieradeł, żeby się upewnić, czy jego intryga zadziałała – po czym szczuje na parę Maria Brennę, znanego paparazzo, który dostaje kilka milionów dolków za zdjęcia słynnego pocałunku, co na dobre rozpętuje szaleństwo fotopolowań na księżną i w znacznej mierze przyczyni się do jej śmierci (autentyczny Brenna kategorycznie zaprzecza, żeby dostał cynk od Al-Fayeda seniora).

Dodi jest w tym czasie zaręczony z inną kobietą, którą jego ojciec traktuje z pogardą i nazywa Miss Bikini. Mou Mou wzywa syna bezprecedensowo z Ameryki, gdzie trwają przygotowania do ślubu, i informuje, że „podał mu Dianę na tacy". A następnie szantażuje syna, że przelecenie księżnej jest warunkiem, pod którym zacznie – wreszcie – być z niego dumny.

Mohamed zmusza Dodiego – wydając ponad jego głową polecenia pilotom i kierowcom – żeby w zasadzie uprowadził Dianę do Paryża, podczas gdy ona chce wracać do Londynu do dzieci. Scenarzyści posuwają się nawet do pokazania, że Al-Fayed senior sabotuje jedyną (dlaczego jedyną, nie wiadomo) okazję księżnej do porozmawiania z synami przez telefon. Zmusza syna do kupienia pierścionka zaręczynowego dla Diany i każe mu się oświadczyć. Oświadczyny wprawiają księżną w stan najwyższego zażenowania, z którego wychodzi z typową dla siebie gracją, albowiem Diana z „The Crown" wszystko robi z gracją.

Postęp dla świata arabskiego

Akurat podczas tej rozmowy z właściwym sobie natręctwem i brakiem taktu Al-Fayed senior dzwoni do syna, żeby zapytać, czy już zrealizował jego marzenia. Dodi nie ma odwagi powiedzieć ojcu, że jego oświadczyny zostały odrzucone, ale Diana słucha, więc w trakcie rozmowy ukradkiem rozłącza się i swój wyzwoleńczy monolog wygłasza już do głuchej słuchawki. Diana się orientuje, bo jest bystra, ale jest także wrażliwa i zapewnia Dodiego, że w swoim czasie znajdzie odwagę, żeby się przeciwstawić ojcu. Po czym giną razem, a Mohamed siedzi w swoim pełnym bezguścia pałacu i interesuje się tylko tym, czy pałac Buckingham odpowiedział na jego listy i podarunki (nie odpowiedział). A na koniec, kiedy Dodi pokazuje się ojcu jako duch (tego także nie oszczędzili nam twórcy serialu), Mohamed nadal myśli tylko o sobie i szlocha „nie zostawiaj mnie", kiedy duch znika.

Khalid Abdalla, szkocki aktor egipskiego pochodzenia grający rolę Dodiego, najwyraźniej czuje, że coś jest nie tak, bo od premiery usiłuje wytłumaczyć mediom, że sposób zaprezentowania Arabów w szóstym sezonie „The Crown" to w gruncie rzeczy postęp: „Ile przychodzi ci do głowy arabskich postaci w zachodnim kinie, które byłyby trochę znane, trochę kochane, a kiedy umarły, opłakiwane? To wiele mówi o naszym kulturowym i politycznym wizerunku w kontekście niezliczonych Arabów, którzy zostali zabici lub umarli w wojnach w ciągu mojego życia" – przekonywał dziennikarza magazynu „GQ".

Stręczyciel i arywista

Mohamed Al-Fayed zmarł niespełna trzy miesiące temu w wieku 94 lat, co każe zastanowić się, czy przypadkiem Netflix ze swoją premierą nie czekał na ten moment, żeby uniknąć procesu. Proces byłby w pełni uzasadniony, bo obrzydliwość postaci egipskiego miliardera nosi wszelkie znamiona oszczerstwa. Jego dość naiwne marzenie o wejściu do brytyjskiej elity nie usprawiedliwia zrobienia z niego potwora.

Prawdą jest, że Al-Fayed senior rozpaczliwie walczył o uznanie w angielskich wyższych sferach, gdzie, mimo wielkiego sukcesu finansowego, traktowany był jak parweniusz. Jego zabiegi na rzecz przyjaźni Dodiego z Dianą serial przedstawia jako stręczycielstwo czystej wody, a także jako przebiegły plan na rzecz uzyskania brytyjskiego obywatelstwa. Twórcy serialu nie zadają pytania, dlaczego dwukrotnie zostało mu ono odmówione w kraju, który oficjalnie sprzedaje swoje paszporty za 10 mln funtów, uprzejmie nazywając to „obywatelstwem poprzez inwestycję", z czego skorzystało choćby wielu rosyjskich oligarchów. Już to samo sugeruje, że Mohamed mógł mieć rację, kiedy zarzucał brytyjskiej elicie rasistowskie uprzedzenia.

Te uprzedzenia wrzeszczą wielkim głosem z ostatniego sezonu serialu „The Crown", gdzie z dwóch widocznych Arabów jeden jest może i wrażliwym, ale bezwolnym i słabym playboyem zdominowanym przez ojca, drugi zaś – prostackim, bezdusznym arywistą, kalającym swoim bezguściem wytworne brytyjskie salony.

Dla pełnego obrazu warto dodać, że aktor grający Al-Fayeda seniora, Salim Dau, jest Palestyńczykiem.

AWŁ

REKLAMA

eprasa.pl 636a773d5d

Przyganiał klaun komuchowi

Można wygrać wybory, szkalując papieża w jego ojczyźnie.

Świat współczesny jest skomplikowany. Pełen niespodziewanych podziałów i egzotycznych sojuszy. Przy każdej informacji człowiek musi się zastanawiać, której stronie kibicować, a kogo potępiać, żeby przypadkiem nie podpaść współplemieńcom albo nie zbratać się z wrogiem. Weźmy takie wybory prezydenckie w Argentynie.

Nie oszukujmy się: niewielu z nas jest specjalistami od Ameryki Południowej. Argentyna to wiadomo: tango, piłka, naziści, Maradona i papież. Ale odbyły się wybory i wygrał je kandydat na tyle wyrazisty, że nie sposób się nie ustosunkować.

Zaglądasz do internetu i widzisz, że wybory w Argentynie wygrał zajadły krytyk papieża. Pierwszy odruch: cieszysz się, myślisz: „swój chłop". Zaczynasz o nim czytać. Okazuje się, że ten swój chłop to Javier Milei, prawicowy populista porównywany do Donalda Trumpa, Jaira Bolsonaro z Brazylii, a w Polsce – do Janusza Korwin-Mikkego czy Sławomira Mentzena, ale do kwadratu. Jego poglądy to redukcja ingerencji państwa do minimum, likwidacja większości ministerstw i banku centralnego, prywatyzacja wszystkiego, co się da. Jednym słowem: mokry sen korwinistów. Ale z drugiej strony facet jest zwolennikiem legalnej korekty płci, małżeństw jednopłciowych, więc trudno go nazwać konserwatystą w nadwiślańskim rozumieniu. Bezdzietny kawaler słynący z licznych podbojów miłosnych, za swe dziecko uznający nieżyjącego już psa, którego zresztą sklonował. Twierdzi, że ów pies był inkarnacją rzymskiego gladiatora oraz doradzał mu w decyzjach zawodowych i politycznych. Aborcji nie lubi, ale uważa, że nad sprzedawaniem dzieci warto się zastanowić. Do tego jest zwolennikiem Ukrainy, a wrogiem Rosji i Chin, chce wprowadzić dolara jako oficjalną walutę. Uff, pogmatwane… Na usta ciśnie się pytanie: „O chuj tu chodzi?".

Żeby uporządkować ten chaos poznawczy, warto sprawdzić, kto stoi murem za Javierem Milei, a kto wiesza na nim psy. Liberalny i lewicowy mainstream widzi w nim prawicowego populistę (w łagodniejszym wariancie libertarianina), przy którym nasi populiści są odpowiedzialnymi mężami stanu. Wolnorynkowi zwolennicy Konfederacji patrzą zaś z nadzieją jako na tego, kto wywróci stolik. Na razie pomijają jego miłość do Ukrainy i USA, skupiają się zaś na postulatach wolnorynkowych oraz oraniu lewactwa. To zresztą główny punkt programu nowego prezydenta Argentyny: wszystko, co mu się nie podoba, nazywa lewactwem, a wręcz „gównolewactwem". Nawet samego ojca świętego.

No właśnie, ten papież, Argentyńczyk przecież.

Dla Milei wcielenie wszelkiego zła, uosobienie rzeczonego „gównolewactwa", komuch, imbecyl i wiele tym podobnych, ale ostrzejszych określeń. Gdyby polscy politycy (albo my na łamach „NIE") używali takich epitetów wobec JP2, to z sądu by nie wyszli, a może i z domu się bali.

Argentyńczycy zaś – naród nie mniej niż Polacy katolicki – nie dość, że nie potępili, to jeszcze wybrali. Wbrew argentyńskiemu episkopatowi, który wzywał prezydenta elekta do opamiętania.

Franciszek nie pozostał dłużny i zdarzyło mu się nazwać Javiera Milei klaunem. Spór ideologiczny i polityczny schodzi na dalszy plan, jeśli wyobrazimy sobie taką wymianę uprzejmości np. między Kwaśniewskim a Wojtyłą. Z obojętnie jakich pobudek taki obrót spraw jest w Polsce nie do pomyślenia. Przecież nawet PRL-owskie władze odnosiły się do JP2 z wielką rewerencją. W depeszy gratulacyjnej podpisanej przez najwyższe władze PRL pisano: „Doniosła decyzja kardynalskiego konklawe sprawia Polsce wielką satysfakcję. Na tronie papieskim po raz pierwszy w dziejach jest syn polskiego narodu budującego w jedności i współdziałaniu wszystkich obywateli wielkość i pomyślność swej socjalistycznej Ojczyzny". Daleko temu do „imbecyla" czy „reprezentanta zła na Ziemi" w wykonaniu Milei, deklarującego się jako katolik.

Zwycięstwo krytyka papieża w swoim stylu podsumował nestor polskiego kabaretu politycznego Janusz Korwin-Mikke. „A nie mówiłem, że w porównaniu z JE Ksawerym Milei jestem barankiem? Ja nazwałem Franciszka komunistą, a On: imbecylem. Na co Papież nazwał Go szczurołapem i clownem. Ale w katolickiej Argentynie można wygrać, atakując ostro argentyńskiego Papę! A! Starym komuchem też!" – napisał na Twitterze. Na co internetowy twórca Koroluk przytomnie mu odpowiedział: „Jak oprzesz kampanię na szkalowaniu papieża Polaka, to sam rozważę oddanie na ciebie głosu".

Na tym polega dramat polskich katolików: cudzego papieża szkalują, swego pomijają.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

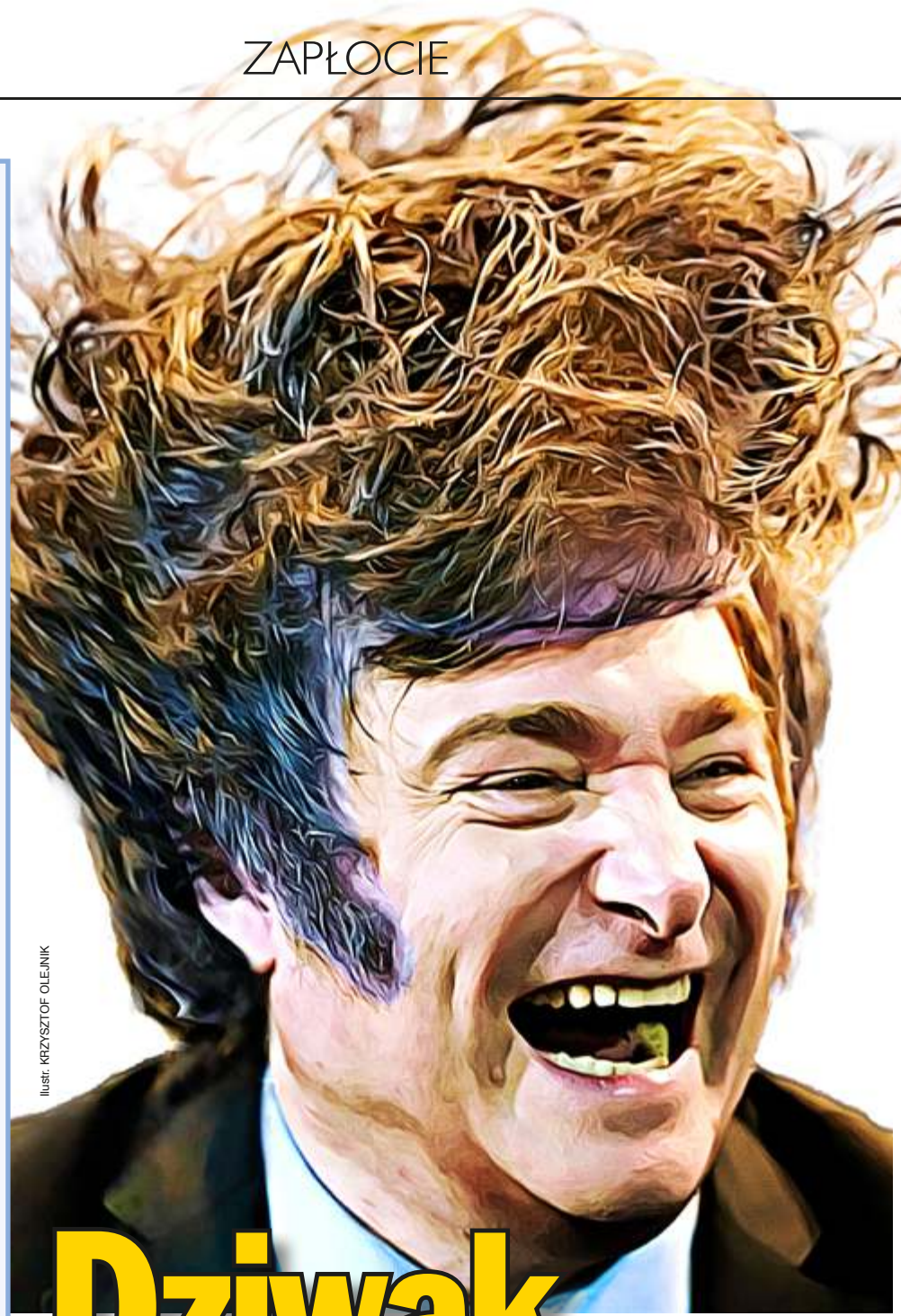

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziwak, furiat, prezydent

Javier Milei został okrzyknięty przez zachodnie media argentyńskim Trumpem.

To określenie nowego prezydenta Argentyny polskie media bezkrytycznie przedrukowały. Odczuwam pewne déjà vu, gdyż latynoskimi Trumpami byli już były prezydent Brazylii Jair Bolsonaro i kandydat na prezydenta w ostatnich chilijskich wyborach Antonio Kast. Po zwycięstwie Geerta Wildersa w ostatnich wyborach w Holandii on z kolei został określony Trumpem holenderskim. Media polskie nachalnie i bez głębszej refleksji określają wszystkich prawicowych populistów mianem lokalnych Trumpów, nawet jeśli są zupełnie od Trumpa inni.

Pobite dziecko

Javier Milei urodził się 53 lata temu w Buenos Aires. Jego ojciec Norberto był niewykształconym kierowcą autobusu, który – jak sam przyznaje – dzięki umiejętności niszczenia innych ludzi dorobił się własnej firmy transportowej i awansu do klasy średniej. Norberto Milei wyżywał się na ludziach nie tylko w pracy, lecz również w domu, regularnie tłukąc domowników, a w szczególności syna. Pewnego razu siostra Javiera dostała ataku nerwowego, widząc, jak ojciec katuje jej brata. Norberto zaś jeszcze wiele tygodni wypominał synowi, że doprowadził córkę do spazmów.

Z niezbadanych dotychczas przez psychologów i socjologów przyczyn chłopcy wychowywani przez przemocowych ojców, zamiast popierać partie lewicowe, głoszące konieczność walki z przemocą domową i opiekowanie się słabszymi, nader często angażują się w działalność stronnictw o charakterze radykalnie prawicowym.

Być może wynika to z poczucia niesprawiedliwości i przekonania, że jeśli oni cierpieli, to innym także nie należy się taryfa ulgowa. Środowisko polskich korwinistów dość kompleksowo opisał w wydanej latem książce „Chłopcy. Idą po Polskę" dziennikarz „Gazety Wyborczej" Marcin Kącki i roi się tam od ludzi potężnie skrzywdzonych przez agresywnego tatusia.

Młody Javier zaszył się więc w swoim pokoju i dzieciństwo oraz młodość spędził, czytając książki. Nie miał znajomych ani dziewczyny, a koledzy z klasy nazywali go El Loco (Szalony), gdyż często bez powodu miewał ataki szału: bluzgał i wyzywał, ale wystrzegał się fizycznej przemocy. Gdy akurat nie leżał w łóżku pobity przez ojca, to pilnie się uczył. Z czasem również wyniki w nauce zaczęły irytować ojca i za punkt honoru postawił sobie zniechęcenie syna do studiów. Gdy Javier uczył się do egzaminów wstępnych, Norberto wmawiał mu, że jest nikim i niczego w życiu nie osiągnie.

Javier, mimo podszeptów ojca, zdał na studia ekonomiczne. Kierunek był oczywisty – Javier twierdzi, że decydujący wpływ miał na niego gigantyczny kryzys walutowy (inflacja sięgnęła 3000 proc.) na przełomie lat 80. i 90. Mimo opinii ekscentrycznego furiata Javier został dość cenionym ekonomistą i przez większość życia pracował na różnych uniwersytetach w Argentynie. Neoliberalny model gospodarczy, którego Milei był (i jest) gorącym orędownikiem, święcił wówczas triumfy. Tradycyjna lewica schodziła na całym świecie na pozycje liberalne, upadły blok socjalistyczny przechodził terapię szokową, a najmodniejszą książką był „Koniec historii" Francisa Fukuyamy.

Siostra i Conan Barbarzyńca

Wydawać by się mogło, że Milei zdołał się ustatkować, a do jego życia wkroczyła normalność. To tylko pozory. Javier zerwał kontakty z rodzicami, a jedyną bliską mu osobą była jego siostra. Milei przyznawał, że z nią śpi, i nigdy nie zdementował plotek o łączącej ich relacji kazirodczej, a ponadto pragnie mianować ją pierwszą damą. Poza niejasną relacją z siostrą Milei jest orędownikiem wolnej miłości, przyznaje się do seksu w trójkątach, a także przedstawia się jako instruktor seksu tantrycznego. Bliska więź łączyła go także z 90-kilogramowym psem rasy mastiff o imieniu Conan Barbarzyńca. Milei zdecydował się wyburzyć wszystkie ściany w swym mieszkaniu, aby pies miał swobodny wybieg, a następnie kazał leciwego już Conana pięciokrotnie sklonować. Ze zmarłym w 2017 r. Conanem kontaktuje się telepatycznie i uważa go za swego najbliższego doradcę, a jego klony za najlepszych przyjaciół. Budząca liczne komentarze fryzura nowego prezydenta jest zasługą nienawiści do szczotek i grzebieni oraz kategorycznego zakazu dotykania jego włosów, obowiązującego wszystkich z wyjątkiem Lilii Lemoine, wiceprzewodniczącej jego partii.

Jedno trzeba Javierowi przyznać: w przeciwieństwie do polityków polskiej prawicy nigdy nie ukrywał powyższych dziwactw, a w kampanii wyborczej nawet je eksponował. Szaleństwo było kluczem do jego sukcesu,

bowiem jeszcze przed wyborami był chyba najczęściej zapraszanym do telewizji ekonomistą. Nawiasem mówiąc, możemy narzekać na poziom polskich produkcji telewizyjnych, ale to nic w porównaniu z telewizjami latynoamerykańskimi. Rozczochrany i notorycznie dostający na wizji ataków furii, a jednocześnie, co jest charakterystyczną cechą neoliberałów, dający zawsze proste odpowiedzi na trudne pytania Javier Milei idealnie wpisywał się w format latynoamerykańskiej telewizji.

Dolar, mafia i organy

Założywszy w 2021 r. partię La Libertad Avanza, rozpoczął dwuletnią kampanię wyborczą i od początku nie ukrywał, że jego celem jest prezydentura. Kluczem do serc Argentyńczyków nie były jednak przechwałki o spaniu z własną siostrą, lecz program gospodarczy. Javier Milei zapowiedział likwidację argentyńskiego peso oraz banku centralnego i wprowadzenie w Argentynie dolara amerykańskiego. Nie byłby pierwszy – w Ameryce Łacińskiej dolar amerykański jest już walutą w Ekwadorze, Panamie i Salwadorze. Ponadto Javier uznał, że najlepszą metodą walki z ubóstwem jest legalizacja handlu organami. Zalegalizować postanowił także narkotyki. Po realizacji tych obietnic Argentyna stałaby się rajem dla mafii zajmujących się tym procederem, jednakże do fascynacji mafią Javier także otwarcie się przyznawał: „Jeżeli miałbym wybierać między państwem a mafią, wybrałbym mafię, ponieważ mafia ma zasady, nie kłamie i, co najważniejsze, mafia konkuruje". Zresztą nienawiść do państwa i chęć likwidacji jak największej liczby instytucji państwowych były fundamentem jego kampanii. Milei na wiecach, wymachując nad głową piłą tarczową, krzyczał, które instytucje wytnie. W najbardziej maksymalistycznych wizjach poza bankiem centralnym zlikwidowałby większość ministerstw, w tym finansów, edukacji i zdrowia, oraz urzędów. Drugim obok państwa wrogiem Milei są czający się wszędzie wkoło marksiści, a trzecim – papież Franciszek.

Javiera Milei z Donaldem Trumpem łączy głównie dziwactwo i niechęć do instytucji państwowych, jednakże zarówno elektorat (na Milei głosowała klasa średnia i burżuazja, a na Trumpa raczej niewykształceni biedni), jak i poglądy na wiele spraw obydwu polityków dzielą. Towarzysze dziennikarze, zamiast zrównywać każdego z Trumpem, wykażmy się oryginalnością. W końcu za to nam płacą.

MAREK SANOWSKI

eprasa.pl 636a773d5d

Widmo pokoju krąży nad Europą

Zachód zmęczony wojną.

10 tys. ludzi demonstrowało w minioną sobotę w Berlinie przeciwko militaryzacji Niemiec, zbrojeniu Ukrainy i bezkrytycznemu wsparciu izraelskiej czystki etnicznej w Gazie. Gwiazdą imprezy była Sahra Wagenknecht, która z właściwą sobie swadą nazwała rząd Olafa Scholza żałosnym, liderów SPD ponurymi postaciami, a Zielonych bandą pijaną wojną. Szczególną uwagę poświęciła ministrowi obrony Borisowi Pistoriusowi, który – jej zdaniem – „chce, aby Niemcy na powrót opanowały rzemiosło wojenne". W żadnym innym kraju nie zabrzmiałoby to równie złowieszczo.

Ukrainosceptyczność

W październiku Wagenknecht z grupą parlamentarzystów odeszła z radykalnie lewicowej Die Linke, aby założyć własną partię, uzasadniając rozłam właśnie różnicą zdań co do wojennej polityki Scholza, a konkretnie wsparciem lewicy dla sankcji wobec Rosji. Tym razem jednak Wagenknecht i Die Linke demonstrowali przeciwko „militarnemu szaleństwu" wspólnie, wraz z przedstawicielami lewicowych organizacji społecznych, związków zawodowych i ruchu antywojennego.

To dobra wiadomość, bo dotychczas monopol na ukrainosceptyczność miała w Europie skrajna prawica, co doprowadziło do skokowego wzrostu notowań AfD w Niemczech czy Frontu Narodowego we Francji, a ostatnio do zwycięstwa Geerta Wildersa i jego prawackiej Partii Wolnościowej w Niderlandach. Niechęć wobec migrantów, otwarty nacjonalizm i islamofobia, stanowiące podstawę przekazu tych formacji od wielu lat, zostały harmonijnie uzupełnione przez izolacjonistyczny przekaz z gatunku „to nie jest nasza wojna" – w podtekście: „czemu mamy za nią płacić" – co wywindowało prawacką opowieść na czoło listy przebojów.

Lewicowy protest przeciwko militarnemu wspieraniu Ukrainy ma zgoła inny charakter: lewicowi dysydenci, wyrywając się ze zjednoczonego prowojennego frontu, protestują nie przeciw wydatkom na broń dla Ukrainy, tylko wydatkom na broń w ogóle, przekonując, że zadaniem kolektywnego Zachodu jest doprowadzenie do pokoju, a chociażby zawieszenia broni, zamiast podsycania wojny, co leży głównie w interesie koncernów zbrojeniowych. Oraz Stanów Zjednoczonych, które prowadząc „wojnę proxy" z Rosją, zmierzają do jej osłabienia militarnego i politycznego – co się udało – a także gospodarczego, co udaje się w stopniu bardzo umiarkowanym.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Nawiasem mówiąc: wiele wskazuje na to, że data ważności tych kalkulacji zbliża się wielkimi krokami. Kolektywny Zachód, jak się zdaje, coraz mniej wierzy w ukraińskie zwycięstwo i szykuje alternatywne warianty.

Po prostu walczmy

Niemiecki dziennik „Bild" opublikował właśnie tekst o tym, że Niemcy i USA wspólnie usiłują zmusić prezydenta Zełenskiego do rozpoczęcia rozmów z Rosją, stosując zbrojeniową kroplówkę: wysyłanie Ukrainie dość broni, żeby utrzymała obecną linię frontu, ale zdecydowanie za mało do jakiejkolwiek skutecznej ofensywy. I nie jest to tylko teoretyczne rozważanie: Zełenski skarżył się niedawno, iż dostawy amunicji artyleryjskiej z Zachodu zmalały o 30 proc. To oczywiście w znacznym stopniu efekt przeniesienia uwagi – i wsparcia – na Izrael i czystkę etniczną, którą przeprowadza on w Gazie, ale zdaniem niemieckiego dziennika nie tylko. „Bild" twierdzi też, że Biden z Scholzem mają również plan B: jeśli nie uda się doprowadzić do rozmów pokojowych, konieczne będzie zamrożenie frontu na obecnej linii, która stanie się nową quasi-granicą.

Równocześnie Davyd Arachamia – szef klubu parlamentarnego prezydenckiej partii Sługa Narodu – opowiedział ukraińskiej telewizji 1+1, że pokój mógł być zawarty na samym początku wojny, w marcu 2022 r. na spotkaniu w Stambule, ale storpedował go ówczesny premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. Arachamia był szefem ukraińskiej delegacji na stambulskich rozmowach i wrócił ze wstępnie podpisanym porozumieniem, w którym Ukraina deklarowała rezygnację z ambicji natowskich i neutralność, a Rosja oferowała wycofanie swoich sił i gwarancję bezpieczeństwa. „Nic z nimi nie podpiszemy, po prostu walczmy" – miał powiedzieć Johnson podczas swojej niezapowiedzianej wizyty w Kijowie zaraz po spotkaniu w Stambule. Oficjalnym powodem do zerwania rozmów stała się masakra w Buczy (nawiasem mówiąc, we wrześniu 2023 r. szef oenzetowskiej komisji ds. Ukrainy Erik Møse ogłosił, że komisja nie znalazła dowodów na ludobójstwo w Buczy). Dziś Arachamia zdaje się sugerować, że był to tylko pretekst.

Fakt, że szef prezydenckiej partii postanowił akurat teraz opowiedzieć o szczegółach negocjacji sprzed 20 miesięcy, nie jest – zdaniem wielu komentatorów – przypadkowy. Były szef brytyjskiego rządu może okazać się poręcznym kozłem ofiarnym, jeśli trzeba będzie kogoś obciążyć odpowiedzialnością za niemal dwa lata wojny, gdyby miała się ona skończyć na tych samych warunkach, na których pokój mógł być zawarty w marcu 2022 r.

Mroczne widoki Zełenskiego

Choć oczywiście lepszym kandydatem do zrzucenia z sań jest sam Wołodymyr Zełenski.

To jego dekret stanowi o nielegalności wszelkich negocjacji z Rosją. Jeśli miałoby dojść do takich negocjacji, wymiana ukraińskiego prezydenta wydaje się nieuchronna.

Zełenski ogłosił niedawno, że odwołuje wybory prezydenckie, które powinny odbyć się w marcu 2024 r.: „Nasze zwycięstwo jest możliwe. Nadejdzie, jeśli się na nim skupimy. Nie na politykowaniu w poszukiwaniu osobistych korzyści. Nie na sporach, które nic nie dadzą naszemu państwu. I wszyscy rozumiemy, że teraz, w czasie wojny, jest wiele wyzwań i jest całkowicie nieodpowiedzialne wrzucać teraz temat wyborów w beztroski i niepoważny sposób".

Z pozoru brzmi to logicznie – jednak prezydent Ukrainy nie dodaje, że z jego osobistego punktu widzenia wybory mają jeszcze inną wadę: w badaniu Ukraińskiej Grupy Socjologicznej 57,7 proc. respondentów wypowiedziało się jednoznacznie negatywnie na temat drugiej kadencji Zełenskiego. Dodatkowo batalia o władzę totalną, którą rozpętał na tyłach frontu, przyniosła mu potężnych wrogów: oligarchowie, których majątek znacjonalizował, sprzymierzyli się z najbardziej wpływowymi burmistrzami ukraińskich miast: Charkowa, Odessy, Dniepru, Lwowa, a także Kijowa, których prezydent usiłuje pozbawić władzy na rzecz mianowanych przez siebie komisarzy Okręgowych Administracji Wojskowych. W sumie jego pozycja wewnątrz kraju staje się coraz słabsza, a zachodnie wsparcie topnieje wraz z brakiem sukcesów na froncie i utratą zainteresowania wojną ukraińską wobec sytuacji w Izraelu. Marne widoki Zełenskiego dodatkowo pogarsza rozkręcająca się kampania wyborcza w USA i zmęczenie amerykańskich wyborców ukraińską wojną.

To wszystko brzmi oczywiście jak cyniczna kalkulacja Zachodu, który – zgodnie z wielowiekową tradycją – szykuje się do porzucenia sojusznika, gdyż ten przestał być użyteczny. Być może jednak ów cynizm niesie nadzieję na pokój.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Unia Europejska rozpoczęła dotowanie małych gospodarstw rolnych na Ukrainie. Dopłaty wynoszą 3100 hrywien (338,65 zł; 46 proc. ukraińskiej płacy minimalnej) do hektara i 5300 hrywien (578,98 zł; 79 proc. ukraińskiej płacy minimalnej) do krowy. Co ciekawe, UE definiuje „małe gospodarstwo" jako posiadające do 120 ha i do 100 krów (w Polsce średnie gospodarstwo ma 11,42 ha). Ukraiński chłop posiadający takie gospodarstwo otrzyma z UE 902 tys. hrywien (99 220 zł; 135 ukraińskich płac minimalnych).

☆ Żona szefa wywiadu wojskowego Ukrainy (HUR) Kiryła Budanowa Marianna została otruta – podały „Ukraińska Prawda" i portal „Kyiv Independent". „Żona Budanowa skarżyła się, że źle się czuje, więc przeprowadziliśmy badania, które wykazały, że została otruta metalami ciężkimi. Substancje te nie są w żaden sposób wykorzystywane w życiu codziennym i wojskowym. Ich obecność może wskazywać na celową próbę otrucia konkretnej osoby" – wskazał anonimowo przedstawiciel ukraińskiego wywiadu.

☆ Iwona Trusewicz na łamach „Rzeczpospolitej" w artykule „Hipokryzja importerów paliw z Unii Europejskiej" pisze: „W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku kraje Unii sprowadziły z Indii 7,9 mln ton produktów naftowych, aż 2,5 razy więcej niż w ub.r. i 3,3 razy więcej niż w 2021 r. przed rosyjską agresją na Ukrainę. W ujęciu wartościowym dostawy wzrosły do 6,1 mld euro z 3,3 mld euro w ub.r. i 1,2 mld euro w 2021 r., wynika z danych Eurostatu […]. Koncerny UE mają świadomość, że paliwa, które zamawiają w Indiach, są produkowane głównie z objętego sankcjami rosyjskiego surowca. A często przez rafinerie, których Rosjanie są współwłaścicielami, jak np. Nayara Energy, gdzie największym udziałowcem jest Rosnieft (49,13 proc.)".

Rys. JANUARY

Czyli używane w UE paliwa pochodzą z rosyjskich złóż, skąd są transportowane rosyjskimi rurociągami do rosyjskich portów, a następnie przeładowywane na rosyjskie tankowce, którymi płyną do rosyjskich rafinerii zlokalizowanych w Indiach, a stamtąd do Europy. Czy nie łatwiej byłoby przesłać to paliwo rurociągami z Rosji wprost do Europy? I czy obwożenie rosyjskich paliw po świecie szkodliwymi dla środowiska tankowcami jest zgodne z unijnym Zielonym Ładem?

☆ Kuriozalnie zakończyła się sprawa w elbląskim sądzie rejonowym: umorzone zostało postępowanie wobec pracownika „Tygodnika Solidarność" Mateusza Kosińskiego, który wraz z kompanem Pawłem Ż. w lutym ubiegłego roku ukradł sierp i młot oraz zdewastował pomnik na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Elblągu. Otóż mogący wystąpić w tym przypadku jako oskarżyciele Zarząd Zieleni Miejskiej w Elblągu, Prezydent Elbląga oraz Warmińsko-Mazurski Urząd Wojewódzki zrzekli się tegoż prawa, a prokuratura wycofała akt oskarżenia z sądu i złożyła wniosek o umorzenie postępowania. Prokurator rejonowa w Elblągu Beata Iskrzyńska tak uzasadniała swoje postępowanie: „Przyczyną była sytuacja procesowa, jaka zaistniała po skierowaniu aktu oskarżenia do sądu, w szczególności wyjaśnienia oskarżonych, którzy dopiero przed sądem wskazali na motywy swojego działania. Dokonana ponownie analiza materiału dowodowego (w tym wyjaśnień oskarżonych) spowodowała zmianę oceny co do znamion czynu zabronionego i jego stopnia społecznej szkodliwości. Tak dokonana ocena doprowadziła do uznania, iż zamiarem oskarżonych nie było znieważenie i zniszczenie miejsca upamiętniającego zdarzenie historyczne, lecz usunięcie z tego obiektu symboli totalitarnego państwa". Kiedy zatem będzie można w majestacie prawa dewastować pomniki Karola Wojtyły i odłupywać z nich krzyże, symbole totalitarnej katolickiej ideologii i totalitarnego państwa Watykanu?

☆ Premier Węgier Viktor Orbán powiedział, że w Związku Radzieckim tamtejsi Węgrzy byli w lepszej sytuacji niż w czasach ukraińskiej państwowości. Nie tylko Węgrzy, Ukraińcy także.

☆ Jakub Dymek komentuje w „Przeglądzie" fragment książki „Polska na wojnie": „Wódka, baranie kożuchy, muzyka i śpiewy. Tak wyglądał najambitniejszy projekt polsko-ukraińskiej dyplomacji przed 24 lutego 2022 r. Decydenci w Warszawie doszli do wniosku, że muszą zbliżyć się z prezydentem Zełenskim i jego ekipą, z którą – co samo w sobie uderzające – nie udało im się wcześniej zbudować funkcjonalnych relacji i sprawnych kontaktów. Postawiono więc wszystko na jedną kartę – »projekt przyjaźń«. Była to próba »wejścia w buty prezydenta Kwaśniewskiego i zbudowania półprywatnych relacji między Dudą i Zełenskim«". Wyszło, jak wyszło. Pić też trzeba umieć.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 636a773d5d

Duety przeciwieństw

Dobrze mieć przyjaciela, nawet gdy się jest sportowcem.

Zawodowi sportowcy często podkreślają, że nie szukają przyjaźni w swoim środowisku. Sport to przecież praca. W pracy można mieć kolegów, ale żeby aż przyjaciół? Znakomity duński żużlowiec, trzykrotny indywidualny mistrz świata Nicki Pedersen ujął to krótko: „Wchodzisz na motocyklu w zakręt z szybkością ponad 100 km/h, a facet jest o centymetry obok ciebie. Czy możecie zostać przyjaciółmi?”.

Iga Świątek też twierdzi, że o przyjaźnie na korcie nie jest łatwo. Przez miesiące panie grają w tych samych turniejach, mieszkają w tych samych hotelach, mijają się, mówią sobie „dzień dobry” i to wszystko. Co prawda głośno było o zażyłych stosunkach między naszą mistrzynią a japońską tenisistką Naomi Osaką, zwłaszcza w pandemii, gdy aktywność tenisistek przeniosła się z kortów do mediów społecznościowych, ale o prawdziwe przyjaźnie nie jest łatwo. Tak jak w pracy: jednych bardziej się lubi, innych mniej i to wszystko.

Lód w wannie, lód w szklance

Głośno jest teraz o zaskakującej przyjaźni dwóch czołowych piłkarzy Manchesteru City: Anglika Jacka Grealisha i Norwega Erlinga Haalanda. Trudno wyobrazić sobie dwa bardziej różne charaktery. Grealish to zabawowicz, którego alkoholowe wyczyny podnoszą nakłady brukowej prasy. Haaland natomiast prowadzi się nienagannie, dnie spędza na treningach, w siłowni i na dbaniu o swoje ciało, gdzie na plan pierwszy wysuwają się kąpiele w wannie wypełnionej lodem. Grealish lodu używa głównie do whisky. Co może ich łączyć?

Oczywiście nie zdarza się Grealishowi przyjść na trening pod wpływem czy choćby na kacu. Jest profesjonalistą. Ale wówczas, gdy ma nieco wolnego, lubi pójść na imprezę. A już fetowanie sukcesów to istne bachanalia.

Po zwycięstwie reprezentacji Anglii nad Włochami 3:1 i awansie do Euro 2024 Grealish, James Maddison, Trent Alexander-Arnold i kilku jeszcze kolegów udało się do modnego nocnego klubu, gdzie zabawili do szóstej rano. W narodową dumę wbić nas może fakt, iż na stołach królowała polska wódka Belvedere, której butelka kosztuje w tym klubie w przeliczeniu ponad 6,5 tys. zł.

Wcześniej po finale Ligi Mistrzów w Stambule w sieci pojawiły się filmiki, na których radośnie bawił się kompletnie pijany pomocnik Manchesteru City. Ponoć w hotelu zjawił się w takim stanie, że obsługa wyprowadziła wózek inwalidzki, aby mógł dostać się do pokoju. Okazał się niepotrzebny, pomogli mu koledzy. Jeśli tam była, na pewno podała mu ramię partnerka Sasha Attwood, z którą poznali się w szkole, gdy mieli po 16 lat, i wciąż są razem. Sasha ponoć z anielską cierpliwością znosi wszystkie wyskoki swojego partnera.

Swego czasu pojawiły się zdjęcia pijanego piłkarza leżącego na ulicy na Wyspach Kanaryjskich, gdzie spędzał urlop. Co on sam na to? Nie zamierza się tłumaczyć. „Po prostu taki jestem i nie będę udawał nikogo innego” – mówi otwarcie. „Jeśli ktoś mnie zapyta, czy piję i imprezuję, odpowiem, że tak, i piję, i imprezuję, znam za to wielu takich, którzy to robią, ale się do tego nie przyznają” – dodaje.

Co sprawia, że Grealish i Haaland tak mocno się zaprzyjaźnili? Na pewno podziwiają swoje umiejętności piłkarskie. Na boisku widać, jak znakomicie układa się im współpraca. O reszcie musieliby się wypowiedzieć biegli psychologowie. Oczywiście dochodzi do nieporozumień. Czasem Erling naskakuje na Jacka i prosi, aby ten odpuścił imprezę. Słyszy wówczas, żeby się zamknął i wlazł do swojej wanny z lodem.

Dawid i Goliat

Teraz przyszedł czas, żeby opowiedzieć o fajnej i wzbudzającej sensację przyjaźni w polskim sporcie w czasach, gdy byłem młodym dziennikarzem sportowym. Mowa o dwóch zapaśnikach stylu wolnego Adamie Sandurskim i Janie Falandysie. Sandurski startował w wadze superciężkiej, mierzył 215 cm i ważył ponad 130 kg, a Falandys był zawodnikiem najlżejszej kategorii, mierzył zaledwie 155 cm wzrostu i ważył 48 kg. Ale zacznijmy od początku.

Czy mielibyśmy brązowy medal olimpijski w zapasach w stylu wolnym w Moskwie, gdyby trener Stali Rzeszów Jan Małek nie przyszedł nad Wisłok i nie zobaczył, jak potężne chłopisko, stojąc po kolana w wodzie, ładuje wielką łopatą żwir z dna rzeki do furmanki? To nie był przypadek, że Małek znalazł się w tym miejscu. Dotarły do niego opowieści o miejscowym olbrzymie i siłaczu, więc chciał sprawdzić, ile w nich prawdy. Gdy przyszedł nad brzeg Wisłoka, aż go zatkało. Pracownik leśny nie tylko w mig ładował żwirem furmanki, ale bez trudu podnosił wielkie bale drzewa. Ktoś taki przydałby się Małkowi w prowadzonej przez niego sekcji zapaśniczej rzeszowskiego klubu.

Problemów jednak nie brakowało. Adam Sandurski miał już blisko 20 lat. To nie jest wiek, w którym zaczyna się uprawianie sportu. Był też kiepsko wygimnastykowany, bo w szkole na lekcjach wychowania fizycznego delegowano go co najwyżej do podawania piłek. No i najważniejsze: sam Sandurski nie miał ochoty na zapasy. Wolał ładować żwir na furmanki.

Małek był jednak uparty. Wiedział, że olbrzym może zrobić furorę na zapaśniczych matach. Tak wielkiego zapaśnika nigdzie nie było i chyba nie ma dotychczas. Wystarczyło wzmocnić mu nieco nogi, nauczyć kilku podstawowych chwytów i młodzieniec może przynosić chwałę Rzeszowszczyźnie i Polsce. Załatwiono Adamowi Sandurskiemu lewy etat w jakiejś państwowej firmie (powszechny zwyczaj w PRL) i mógł się skupić na treningach. Co ważne, w Stali Rzeszów poznał zapaśnika najlżejszej kategorii wagowej Jana Falandysa i tak zrodziła się wielka przyjaźń olbrzyma z mikrusem.

Łagodność olbrzyma

Falandys był już świetnie wyszkolonym zawodnikiem. Sandurskiego wszystkiego trzeba było uczyć od początku. Miał nieprawdopodobnie długie i silne ręce, gorzej było z nogami. Trener Małek prócz ćwiczeń na wzmocnienie nóg skupił się na przygotowywaniu taktyki dla nietypowego podopiecznego. Sprowadzała się ona do tego, aby rywala jak najszybciej położyć na macie i zastosować chwyt zwany walizką. Polega on na wykręceniu głowy rywala tak, aby znalazła się blisko tułowia.

Widziałem to na własne oczy. Sandurski jedną ręką trzymał jakiegoś nieboraka na macie, a drugą przekręcał głowę, jak gdyby chciał mu skręcić kark. Nie byłem specjalistą zapasów, nie wiedziałem, że to jest osławiona walizka, sądziłem, iż Polak nie chce, aby sędziowie uznali, że rywal wyszedł poza pole walki. Drugim chwytem, którego nauczono Adama Sandurskiego, był japoński klucz, także wykonywany w parterze. I to tyle. Mógł wyruszać na podbój zapaśniczego świata.

Podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. praca dziennikarzy z naszego kraju polegała na polowaniu na polskie medale. Starannie przeglądaliśmy program, odjazdy autobusów między poszczególnymi arenami i staraliśmy sobie tak organizować pracę, aby trafić na finałowe występy Polaków. Z perspektywy czasu myślę, że było to idiotyczne założenie. Trzeba było jeździć tam, gdzie mogło być najciekawiej, a niekoniecznie tam, gdzie najbardziej obiecująco dla Polaków. Byłem jednak młodym niedoświadczonym dziennikarzem i robiłem to, co inni.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prawda, obejrzałem na żywo słynny gest Władysława Kozakiewicza i wspaniały triumf Bronisława Malinowskiego na stadionie na Łużnikach, wyściskałem spoconego Czesława Langa, gdy zdobył srebrny medal na kolarskiej trasie w dzielnicy Kryłatskoje, ale na pewno przeoczyłem wiele innych ciekawych zdarzeń. Trudno, czasu nie cofnę.

Jeśli chodzi o Adama Sandurskiego, to dotarłem akurat na walkę półfinałową, w której przegrał z zawodnikiem gospodarzy Osetyjczykiem Sosłanem Andijewem. Wówczas nie mogłem jeszcze wiedzieć, dlaczego nasz olbrzym miał kłopoty z radzieckimi zawodnikami i na nic zdały mu się walizka oraz japoński klucz. Okazuje się, że zaproszono go wcześniej na zgrupowanie kadry naszego wielkiego sąsiada rzekomo w dowód uznania dla jego osiągnięć i w celu nauczenia innych fajnych chwytów zapaśniczych. W rzeczywistości chodziło o to, aby gruntownie rozpoznać jego możliwości i znaleźć sposób na walkę z nim. Sandurskiego przeraźliwie bali się wszyscy, choć był to i jest człowiek niesamowicie spokojny, sympatyczny oraz łagodny. Później w RFN, gdzie walczył w klubie w Witten, nosił nawet przydomek Łagodny Olbrzym.

Z „dzieckiem” na piwo

Sandurskiego i Falandysa (ten drugi zajął w Moskwie czwarte miejsce) spotkałem podczas igrzysk na ulicy w stolicy ZSRR. Moskwa była wyludniona. Usunięto z niej wszelki element niepożądany, dzieci wysłano na pionierskie obozy, mieszkańcy mieli siedzieć albo w pracy, albo w domu. A jednak wokół naszych zapaśników zebrał się spory tłumek. Nie było jeszcze smartfonów, więc nie można było zrobić sobie z nimi selfie, trzaskały za to migawki zorek i smien, a na kliszach uwieczniano ten niesamowity duet. Jestem pewien, że Falandys z Sandurskim zrobili się popularniejsi od jakiegoś tam złotego medalisty Sosłana Andijewa, którego nikt nie rozpoznałby na ulicy.

Obaj zapaśnicy cierpliwie pozowali do zdjęć. W tym miejscu trzeba zauważyć, że mieli do siebie duży dystans, a fotografie, na których olbrzym trzyma na dłoni mikrusa, do dziś krążą w sieci. Znane także było ich poczucie humoru.

Najgłośniejszy okazał się numer, który wykonali

pod kioskiem z piwem, gdzie ustawiła się duża kolejka. Sandurski wziął na ręce Falandysa, ten zaczął udawać płacz dziecka i o dziwo piwosze rozstąpili się, aby mężczyzna z dzieckiem na ręku mógł poza kolejnością zaopatrzyć siebie (i trzymanego na rękach malucha) w pożądany napój.

Ten chwyt, choć nie zapaśniczy, powtórzyli jeszcze kilkukrotnie i zawsze działał.

Obaj bohaterowie tego tekstu w najlepszej formie byli wówczas, gdy rozgrywano zbojkotowane przez ZSRR (i pod przymusem przez wszystkie demoludy) igrzyska olimpijskie w Los Angeles. Zamiast nich towarzysze radzieccy zaproponowali zawody nazwane Przyjaźń. Tu Jan Falandys zasłużył się dla całego sportu – dzięki staraniom jego i jeszcze kilku osób medaliści tej imprezy otrzymują olimpijskie emerytury.

W PRL zasłużeni sportowcy po ukończeniu trzydziestki dostawali zgodę na wyjazd na Zachód, żeby dorobić sobie przed udaniem się w stan sportowego spoczynku. Sandurski i Falandys nie dali się rozdzielić i wtedy. Obaj wyjechali do RFN i startowali w barwach klubu KSV Witten. Zdobyli z nim mistrzostwo kraju. Niestety, zaczęły ich coraz częściej trapić kontuzje – lata spędzone na macie i w siłowni dawały znać o sobie. Zaproponowano im udział w zdobywającym wówczas coraz większą popularność wrestlingu, rozrywkowej imprezie łączącej elementy walki ze spektaklem. Obaj odmówili. Nie zgodzili się też na wyjazd do Japonii, gdzie mieliby być pokazywani raczej jako ciekawostka przyrodnicza niż sportowcy.

Sandurski został w Witten, gdzie dostał pracę u sponsora klubu, w którym startował, Falandys wrócił natomiast do kraju i jest częstym gościem w Busku-Zdroju, gdzie leczy dolegliwości, których nabawił się w sporcie. Angażuje się też w różne działalności społeczne, w czym pomaga mu popularność. Ludzie nie zapominają o słynnej parze Falandys–Sandurski.

Na koniec ciekawostka. Choć od uprawiania zapasów przez Łagodnego Olbrzyma minęło już sporo czasu, a żadna z jego dwóch córek nie chciała zostać sportsmenką, ta dziedzina wciąż jest obecna w życiu jego rodziny. Jedna z córek wyszła za mąż za włoskiego piłkarza Bundesligi Marca Terrazzino. Jego brat tancerz, Stefano, jest doskonale znany w Polsce jako uczestnik licznych programów rozrywkowych z „Tańcem z gwiazdami” na czele.

Sława nie może się odczepić od Łagodnego Olbrzyma, choć on najbardziej ceni sobie spokój.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl
Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 29.11.2023 r.**

eprasa.pl 636a773d5d

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Jeśli zastanawiacie się, na co wydać kasę z miejskich budżetów obywatelskich, podpowiadam i zachęcam: pręgierz. Będzie to chwalebny powrót do tradycji, a przy tym ileż uciechy! Zamożniejsze miasta mogą sobie pozwolić na trwałe pręgierze kamienne bądź stalowe, uboższe – drewniane, lecz równie solidne.

Jak wiadomo z Wikipedii, do pręgierza wiązano oszustów, aby pokazać ich ludowi, oraz winowajców skazanych na hańbę publiczną, chłostę lub wyświecenie, czyli wygnanie z miasta. Przywiązywano także błaznów, którzy przestali być zabawni.

Klasyczny pręgierz powinien się składać ze: 1) słupa hańby; 2) kuny, czyli żelaznej obręczy do przypinania łańcuchem oszusta lub nieśmieszącego figlarza; 3) czasem komórki – pomieszczenia, w którym zamykano winowajcę na noc.

Najważniejszym jednak elementem pręgierza jest łgarz, oszust lub błazen. Wiadomo, że nie wszystkie miasta mogą schwytać Mateusza Morawieckiego i przykuć go do kuny. Z braku oryginału trzeba zadowolić się falsyfikatem – wystarczy byle jaki winowajca. Należy mu tylko przykleić etykietkę z imieniem Mateusz i nazwiskiem Morawiecki. Można dodać drugą ze skrótem MMPP – Mateusz Morawiecki Premier Polaków. (INRI – Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum, po polsku Jezus Nazarejczyk Król Żydów – taki skrót był na Chrystusowym krzyżu, ale nie wyciągałbym z tego żadnych wniosków).

Zwyczaj jest taki, że przykutego do pręgierza odwiedza rankiem młodzież szkolna. Chłopcy i dziewczęta mogą na złoczyńcę pluć i obrzucać go dostępnymi na pobliskim straganie zgniłymi pomidorami i zepsutymi jajami. Powinni go też nazywać po imieniu w zależności od win: „Ty zboczeńcu! Złodzieju! Kłamco!”. Odradzałbym „Cyganie!”, bo to inwektywa niepoprawna politycznie.

Przez cały dzień winowajcę mogą obszczywać psy.

Zgodnie ze zwyczajem w południe przywiązanego do pręgierza powinny odwiedzać ladacznice. Wolno im go wyszydzać poprzez zakasywanie sukien i spódnic oraz pokazywanie intymnych części ciała z przodu i z tyłu. Dziwkom mogą towarzyszyć muzykanci, żeby kpiny opatrzyć oprawą muzyczną.

Po kurwach nastaje czas władz miasta. Włodarze podchodzą do oszusta pojedynczo lub w grupach. Odczytują mu jego winy: wybory kopertowe, Pegasus, wadliwe maseczki z Chin, niedziałające respiratory. Gawiedź krzyczy: „Hańba! Hańba! Po trzykroć hańba!”.

Wieczór należy do ludu: kpiny, szyderstwa, obrzucanie odchodami, wszystko, co podpowie wyobraźnia.

O północy herold ogłasza: „Minął pierwszy (drugi, trzeci itd.) dzień kary tego drania Morawieckiego! Jutro dzień drugi (trzeci, czwarty itd.). Dobrej nocy”.

Strażnicy odprowadzają winowajcę do komórki, dają mu tam wody i chleba oraz częstują kopniakami i kuksańcami.

Nazajutrz cała zabawa a novo.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN wybiera się na pogrzeb, a nawet dwa... Latem miała przerwę, bo kiedy starzec przeżyje marzec, to dotrwa do jesieni. A teraz znowu wysyp. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** ma dość polityki i chciała pójść do teatru, ale nie trafiła.

Rys. TOMASZ WIATER

Senyszyn: – Chyba jednak muszę zapytać, jak ci się udało nie trafić do teatru we własnym mieście…

Wołk-Łaniewska: – Moja przyjaciółka postanowiła zobaczyć Olbrychskiego na żywo, zanim umrze.

– Twoja przyjaciółka się zbiera umierać?

– Nie, ale Olbrychski nie staje się młodszy. Przyjaciółka pracuje w sejmie, a Olbrychski występował w teatrze IMKA, który był w starym basenie IMKI na Konopnickiej, czyli rzut beretem. Basen pamiętam, bo mnie tam uczyli pływać metodą wrzucania od głębokiej strony z hasłem „płyń, bo utoniesz”. W każdym razie Becia kupiła bilety, a potem się okazało, że IMKA przeprowadziła się na Groty. No to pojechałyśmy, klnąc, na te Groty, ale teatr był zawarty na głucho, bo spektakl przenieśli na Ursynów. Co było napisane jak byk na biletach, tylko tak się przejęłyśmy Grotami, żeśmy nie doczytały. Tak więc nie zobaczyłyśmy Olbrychskiego…

– Wielka szkoda.

– Nie jestem pewna. Pamiętam, jak Iwaszkiewicz pisał w pamiętnikach, że był na premierze „Hamleta” z Olbrychskim i szybko uciekał, jak się skończyła, żeby go Daniel nie zapytał, jak mu się podobał. Ale jestem pewna, że w tej IMCE otrzymał oklaski na stojąco.

– Dlaczego?

– A bo teraz wszyscy wstają do klaskania, nawet na najbardziej gównianych przedstawieniach. Pewnie chcą mieć poczucie, że uczestniczyli w ważnym wydarzeniu kulturalnym.

– E tam, wstają, bo krzesła są niewygodne. Ja siedzę twardo, jak mi się spektakl nie podoba, ale to wymaga dużego samozaparcia. Wszyscy patrzą z wyrzutem i oburzeniem.

– Dobra, dość o kulturze. Mam fidbek.

– Co masz, przepraszam?

– Odgłos od czytelników. Mówią, że jesteśmy za poważne. To twoja wina, bo jesteś za mądra, a tu trzeba o głupstwach czasem pogadać…

– Czytelnicy ci to powiedzieli?

– Nie. To, że to twoja wina, to już mój dodatek. No ale jak tu z profesorzycą rozmawiać, dajmy na to, o seksie?

– Ależ proszę bardzo, opowiem ci o seksie z pozycji profesorzycy.

– Tej pozycji nie znam, więc chętnie posłucham.

– W latach 90. była taka moda, że różni biznesmeni robili magisterkę, żeby mieć na wizytówce. I ja im wszystkim radziłam, żeby pisali o swojej firmie, bo to najprościej.

– A poza tym to był jedyny temat, o którym mieli jakiekolwiek pojęcie.

– Też. Miałam na seminarium faceta, który pracował w hurtowni artykułów erotycznych na północną Polskę. Bo wtedy były tylko dwie: jedna obsługiwała północ, druga – południe. Powiedziałam mu, żeby pisał pracę magisterską o zaopatrzeniu sex-shopów. Był przerażony i pytał, jakiej terminologii ma używać. Uspokoiłam go, że handlowej. Przez pierwsze kilkanaście stron wymieniał więc te wszystkie artykuły i powiem ci, że przy niektórych mi włosy dęba stawały, choć nie uważam się za osobę zupełnie niezorientowaną w temacie… W każdym razie chłopak napisał świetną pracę z bardzo interesującymi konkluzjami.

– Na przykład?

– Że gadżety erotyczne kupują przeważnie faceci dla swoich partnerek. I że sex-shopy mają malutką powierzchnię, bo każdy klient chce tam być sam, zwłaszcza jak zasięga fachowej porady sprzedawcy. Więc musi być zacisznie i kameralnie…

– To prawda, byłam kiedyś w Chemnitz w erotycznym supermarkecie. Przygnębiające.

– Uznałam, że to bardzo ciekawe wiadomości, i wysłałam tę pracę do zrecenzowania do największych bigotów na wydziale.

– Żeby rozszerzyć ich horyzonty?

– Też. Ale głównie cieszyła mnie myśl, jak się będą czerwienić przy czytaniu. Napisali bardzo pozytywne recenzje, bo praca była rzeczywiście świetna. A potem musieli przyjść na obronę, tylko, biedactwa, nie wiedzieli, o co pytać. Więc ich wyręczałam i zadawałam szczególnie ciekawe pytania. Jak tylko magistrant powiedział jedno zdanie, oni wykrzykiwali: „Tak, tak, bardzo dobrze, już dziękujemy”. Potem mi ta praca zginęła…

– Jak to?

– Bo najlepsze prace z poprzednich lat wypożyczałam studentom z następnych, żeby sobie poczytali i zobaczyli, jak to powinno wyglądać. Wszystkie do mnie wróciły, a ta nie. Co odkryłam kilka lat później, jak redakcja „NIE” chciała ją ode mnie pożyczyć.

– Na koniec mam do ciebie pytanie jako do profesorzycy od ekonomii.

– Proszę bardzo, tylko mi potem nie mów, że się wymądrzam.

– Otóż „Rzeczpospolita” opublikowała ostatnio sondaż, z którego wynikało, że 70 proc. ankietowanych jest za prywatyzacją. Nieco mnie to zdziwiło, więc przeczytałam starannie i okazało się, że to 70 proc. z 37 ekonomistów, których zaprosili do panelu. I w zasadzie tylko Michał Możdżeń z Polskiej Sieci Ekonomii był przeciw, ale to są lewacy. I jeszcze Michał Brzeziński z Wydziału Ekonomii UW, który zajmuje się badaniem nierówności i ubóstwa, zauważył, że większość Polaków jest przeciw prywatyzacji, więc może lepiej tego nie robić. A ty jak uważasz?

– To, co najcenniejsze, poszło pod młotek na początku lat 90., bo Balcerowicz, Lewandowski & company chcieli mieć sukces prywatyzacyjny. Za bezcen oddali firmy przynoszące zyski, a państwu zostawili deficytowe. Zniszczyli Pewex, Baltonę. Łódzką firmę produkującą rajstopy puścili za kwotę, która była w pogotowiu kasowym, płatność rozłożyli na raty i jeszcze zwolnili na kilka lat z podatków. Nie dziwota, że niejednemu i dziś marzy się złodziejska prywatyzacja, choć akurat PiS pokazał, jak dobrze można żyć z państwowego.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 276

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 636a773d5d